Rok XVI
20 (809)
CENA 1.50 ZŁ
20.5.73

E. KATA

OKRUCH BŁĘKITU

Tłumaczyła: URSZULA ŁADA-ZABŁOCKA

Czytaj na stronach 8 — 9

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

I oto jesteśmy w Berlinie, ci, których wróg usiłował zepchnąć do Wołgi. Rozstrzyga się najstraszniejsza i najkrwawsza wojna ostatnich stuleci. A oto ten

BERLIN 1945

(III)

przebiegły hitlerowski generał ze swoim idiotycznym pytaniem: a jak to będzie z rządem?

Dalszy ciąg na str. 6

GRANDOLOGIA

(IV)

Fot. J. Mendychowski

Czytaj na str. 4

Zajęty pilnymi zamówieniami redakcyjnymi, kilkakrotnie odkładałem wyjazd do Ozorkowa, choć wciąż ciekawiło mnie, jak też wypadnie spotkanie z człowiekiem, który za życia stał się bohaterem książki.

Konfrontacja

RYSZARD BINKOWSKI

Wyjaśnienie:

Tadeusz Chróścielewski, napisał powieść **„Aurelian albo zjazd koleżeński"**, której fabuła obejmuje okres od roku 1918 aż po czasy najnowsze, akcja zaś, w wielu momentach żywa i dramatyczna, toczy się w środowisku młodzieży szkolnej i akademickiej, robotniczym i nauczycielskim.

Nie byłoby może w tym nic frapującego, gdyby autor w rozmowie ze mną nie powiedział:

— Na kartkach książki występuje bardzo ciekawa postać, w powieści potraktowana przeze mnie trochę epizodycznie i anonimowo. Jest to mój dawny nauczyciel, profesor Jan Łupiński.

— Znalazł się w książce przez sentyment uczniowski?

— Nie tylko. Łupiński był z natury nieśmiały i lękliwy. Tymczasem podczas okupacji człowiek ten organizuje w Mińsku Mazowieckim tajne nauczanie, a także liczne

Dalszy ciąg na str. 7

CZAS PRZESZŁY — TERAŹNIEJSZY (I)

NUTY POLSKIE

W samolocie od samego startu aż do lądowania płonie świetlna tabliczka: „Nie palić. Zapiąć pasy" — więc nie wiadomo, kiedy będziemy lądować. Ale przebiliśmy się przez wąską warstwę białych chmur i schodzimy coraz niżej. Dzień jest pogodny, promienny. Po nie kończącej się białej przestrzeni (przez całą zimę w Polsce nie widziałem tyle śniegu, ile tu, w środku marca) pełznie maleńki cień samolotu. Krajobraz — z tej wysokości — jest początkowo płaski, równinny, później w miarę zbliżania się do doliny Wołgi widzę głębokie parowy, jary. Przybywa zabudowań. Wreszcie Wołga, wolna od lodu, połyskująca srebrem, płynąca ogromnym łukiem. I już pod nami miasto: regularne rzędy i prostokąty niewysokich, jednakowych domów. Szarość i czerń. Pierwsze wrażenie: brzydkie miasto. Jego mieszkańcy będą mi potem mówili o nim jako o najpiękniejszym w świecie. To jasne: każde miasto jest piękne, jeśli zbudowano je ze zwałów dymiących gruzów. Lądujemy w Wołgogradzie.

1.

Razem z radzieckimi pasażerami schodzę po trapie. Na płycie lotniska czeka już stewardesa, wyławia z tłumu nas trzech, cudzoziemców, prowadzi do sali „Inturistu", przeznaczonej właśnie dla gości zagranicznych. Rozmawia ze mną, oczywiście, po rosyjsku, dwaj towarzysze mojej podróży nie znają tego języka. Próbuje angielskiego — też ani w ząb, w końcu z trudem — jak mi się zdaje — wydusza z siebie kilka słów po niemiecku. Dziwnie mi brzmi ten język właśnie tutaj.

Czekam na samochód, samochodu nie ma, widocznie nawaliło coś w organizacji na linii Moskwa — Wołgograd. Taszcząc ciężką walizkę, wychodzę więc na słoneczny plac przed portem lotniczym, czekam na taksówkę. Ale taksówki wypełnione po brzegi pasażerami odjechały już do

MAREK WAWRZKIEWICZ

miasta, następnych jakoś nie widać. Sterczę pośrodku placu już dobre pół godziny, kiedy od strony czerwonego autobusu podchodzi do mnie jakiś młody człowiek. Po co czekam? — pyta. Taksówki może nie być jeszcze przez godzinę, autobusem będę w centrum za 40 minut. Jedziemy, przyglądam się miastu, rozmawiamy. Przed dwoma miesiącami wrócił z Polski, pracował u nas na jednej ze wspólnych budów. Wysiadamy w centrum, obok dworca kolejowego. Stąd tylko parę kroków do hotelu. Mój nowy znajomy odprowadza mnie do samych drzwi. Jeden z wielu gestów prostej, ludzkiej życzliwości, gestów, z którymi spotykam się tu na każdym kroku. I pierwsza polska nuta w dalekim Wołgogradzie. A słyszałem tu ich tak wiele...

2.

Dawid Siemionowicz Dobruszyn — podpułkownik w stanie spoczynku — odwie-

Dalszy ciąg na str. 6

Jan Dziewałtowski-Gintowt — „STARY DOMEK" (olej)

DNI KSIĄŻKI

W bieżącym roku **DNI OŚWIATY KSIĄŻKI I PRASY** trwają od 3 maja do 10 czerwca. Piszę więc te słowa jeszcze przed półmetkiem, a więc krótko i fragmentarycznie. Zdecydowałem się jednak już teraz zabrać głos, by dostatecznie wcześniej wtrącić swoje trzy grosze i pewne sprawy organizatorom owych DNI zasygnalizować.

Organizowane imprezy podczas **DNI** to głównie **spotkania autorskie i kiermasze.** Na podsumowanie spotkań przyjdzie czas, ale trzeba powiedzieć już teraz, że nie były one dostatecznie wcześniej przygotowane; zostały puszczone na żywioł, organizatorzy i autorzy umawiali się dosłownie za pięć dwunasta. Nikt nie pomyślał o wcześniejszym przynajmniej o miesiąc (to ważne szczególnie dla czytelników!) **zaprogramowaniu całego cyklu,** odpowiedniej, jeśli już nie reklamy, to choćby informacji. Osobiście nie jestem entuzjastą, odbywania spotkań tylko przez jeden miesiąc w roku, ale jeśli stało się to już tradycją — róbmy to przynajmniej dobrze, z głową, ku zadowoleniu i satysfakcji obydwu stron. Chodzi przecież o proste sprawy: żeby czytelnik spotkał się z tym autorem, który go interesuje, żeby się do tego spotkania przygotował, przeczytał odpowiednie książki itd. itd.

Kiermasze... Mamy już za sobą tradycyjny kiermasz w **Parku Sienkiewicza.** Tradycyjny, a więc wydawałoby się taki, o którego poziom i przygotowanie można być z góry spokojnym i tylko z niecierpliwością czekać na te dwa kulminacyjne dni. Nie można jednak tej imprezy pochwalić, nie spełniła ona oczekiwań czytelników i chyba rozminęła się z wyobrażeniami autorów o roli jaką powinna spełniać.

Andrzej Hampel w „Dzienniku Łódzkim" w artykule pod wymownym tytułem **ACH, KOGÓŻ TAM NIE BYŁO** irytuje się, że wielu łódzkich pisarzy nie wzięło udziału w tej imprezie, mimo złożonych wcześniej deklaracji. Inni, dopowiedzmy od razu, od początku ustosunkowali się sceptycznie do propozycji Domu Książki, pomni chyba doświadczeń z przeszłości. W efekcie z liczącego prawie 60 członków Oddziału Łódzkiego ZLP wzięło udział w kiermaszu 15 autorów.

Myślę, że za taki stan rzeczy winę ponoszą organizatorzy, którym wydaje się, że jeśli zaprosili pisarza, przygotowali mu krzesło i stolik z wizytówką, oraz większą czy mniejszą ilość książek — to zrobili już wszystko. A to chyba nie tak! Żaden autor, to chyba ludzkie i logiczne w dodatku, nie chcę liczyć na przypadek. Ma prawo żądać, aby go z czytelnikiem u m ó w i ć, pośredniczyć w sposób godny tej imprezy. Nie chodzi mi o hałaśliwą i przesadną reklamę, ale rozumne p o ś r e d n i c t w o, jakie jest obowiązkiem dystrybutorów książek. Dystrybutorów, odpowiedzialnych za ważny odcinek działalności, kulturotwórczej, a nie tylko handlarzy towarem p. n. książka. Sprawa więc tkwi głębiej, chodzi bowiem przede wszystkim o ś w i a d o m o ś ć, po co to wszystko robimy?

Kiermasz w tak dużym mieście jak Łódź byłby chyba kompletnym nieporozumieniem, gdyby nie wzięli w nim udziału autorzy z innych środowisk. Ale chyba jeszcze większym nieporozumieniem jest zestaw autorów warszawskich, jaki nam zaserwowano w bieżącym roku. Niech się nie obrażą naprawdę znani reporterzy Wolanowski i Kąkolewski, sympatyczny aktor Pawlikowski, zasłużony mistrz szabli Pawłowski, ale nie można ich uznać za reprezentantów l i t e r a t u r y środowiska, które grupuje ponad połowę piszących ludzi w naszym kraju. Dzięki im za to, że przyjechali, ale przecież nie o takich autorów chodziło łódzkim miłośnikom dobrej książki.

Chyba, że chodziło znowu o handel, o obrót i przerób, czy jak to się tam inaczej nazywa. W każdym razie, w moim przekonaniu, nie chodziło o rzeczywistą popularyzację autentycznego, literackiego dorobku autorów ze stolicy.

Tak więc, drogi redaktorze Hampel, próbując w swoim piśmie „zwabić" na owe cztery nazwiska jak największą liczbę ludzi do uczestnictwa w kiermaszu, d a ł e ś się przede wszystkim sam zwabić w pewne rejony myślenia, które nie mają wiele wspólnego z prawdziwymi zasadami polityki kulturalnej i autentyczną popularyzacją literatury. I śmiem twierdzić, że nie jestem w swoim odczuciu odosobniony. I ku rozwadze zainteresowanych swe rozterki i wątpliwości w dobrej wierze publicznie prezentuję.

J. ŻAK

KOMUNIKAT

„Zarząd Klubu Związków i Stowarzyszeń Twórczych „POD WITRAŻEM" w Łodzi, Al. Kościuszki 33 — ustanawia doroczną nagrodę honorową za najwybitniejsze dzieło twórcze związane z naszym miastem w roku 1972. Nagroda ta zostanie wręczona w czasie obchodów V Łódzkiej Wiosny Artystycznej. Kandydatów do nagrody mogą zgłaszać zarządy poszczególnych stowarzyszeń i związków twórczych naszego miasta oraz osoby prywatne.

Pisemne zgłoszenia kandydatur z umotywowaniem prosimy przesyłać na adres Zarządu Klubu do dnia 15 maja 1973 r."

24 godziny

O tym, że nie można tracić czasu, wiemy już od bardzo dawna. Niestety, wiedza ta — jak do tej pory — na wiele nam się nie przydała. Teoria bowiem sobie, a praktyka — sobie. W referatach, na naradach i zebraniach chętnie powtarzamy hasła o wartości czasu, przestrzegamy przed jego marnotrawieniem, ale jakże często owe narady są niczym innym, jak tego czasu marnotrawieniem. I trzeba było aż zarządzenia Rady Ministrów, aby owe dość przecie często zbędne narady ograniczyć, aby wyznaczyć dni, w których radzenie jest możliwe i dni, w których zamiast gadać po próżnicy lepiej wziąć się do konkretnej pracy.

Teraz znów Rada Ministrów podjęła uchwałę o wykorzystaniu czasu pracy i ograniczeniu zwolnień z pracy. Niby dwie różne rzeczy, a przecież chodzi o t o samo — o pełne wykorzystanie czasu pracy. Człowiek ma do dyspozycji tylko 24 godziny w ciągu doby i powinien nimi należycie gospodarować. W tych 24 godzinach jest czas na pracę i czas na wypoczynek. Ale zdarzało się i tak, że niektórzy ludzie mylili pojęcia. Odpoczywali w pracy, a pracowali w czasie przeznaczonym na odpoczynek, zajmując się tzw. fuchą lub chałturą. Mogłoby się wydawać, że po 8 godzinach przeznaczonych na pracę człowiek może robić wszystko to, co mu się tylko podoba. Pod warunkiem o c z y w i ś c i e, że po tych 16 wolnych godzinach stawi się wypoczęty i sprawny do pracy zawodowej, na którą podpisał z przedsiębiorstwem umowę o pracę. A zatem dla społeczeństwa nie jest obojętne jak człowiek wypoczywa. Czy w czasie przeznaczonym na o d p o c z y n e k regeneruje swoje siły, czy je marnotrawi. Czy w tym czasie załatwia swoje sprawy osobiste, czy też odkłada je na później, biorąc na ten cel zwolnienie z pracy.

Uchwała Rady Ministrów nie ogranicza zwolnień od pracy zawodowej dla ludzi pełniących różne funkcje społeczne, np. dla członków rad zakładowych, biegłych sądowych, rzeczoznawców. Nakazuje jednak, aby wszelkie zebrania organizacji społecznych odbywały się po godzinach pracy zawodowej. A przecież istotne jest nie tylko to, kiedy takie zebranie się odbywa, ale przede wszystkim to, jaki ma ono cel, czy jest dobrze przygotowane, czy dzięki niemu osiągnie się postęp w pracy społecznej, czy też jest to tylko czcza formalność?

Uchwała wskazuje również, że aby lepiej wykorzystywać czas pracy należy umożliwić ludziom załatwianie ich spraw po godzinach pracy. I koniecznie ograniczyć ilość ciągle jeszcze wymaganych zaświadczeń i załączników. Miałem już nie jeden raz okazję pisać, że dowód o s o b i s t y powinien być u nas dokumentem podstawowym. Wszyscy są co do tego zgodni i na tym wszystko się kończy. Spróbujcie załatwić coś w jakimś urzędzie, a zaraz przekonacie się, że bez zaświadczenia, podania i podkładki nic nie można ruszyć z miejsca. Spróbujcie pójść i załatwić najprostszą sprawę, a zaraz przekonacie się, że nie sposób załatwić jej od ręki, że trzeba trochę pochodzić, ponaprzykrzać się urzędnikom, którym swoją obecnością przeszkadzacie tylko w normalnym urzędowaniu.

Pełne wykorzystanie czasu pracy zależy więc nie tylko od dobrej woli każdego z nas. Zależy ono też od sprawnej organizacji życia społecznego. Śmiem z uporem twierdzić, że poza wyjątkowo utalentowanymi leniami, którzy całe życie poświęcili temu, aby stwarzać pozory pracowitości, reszta ludzi bardzo nie lubi nic nie robić. Ludzie muszą bowiem czuć się potrzebni, społecznie użyteczni, chcą być właściwie wykorzystani, zgodnie z ich predyspozycjami i umiejętnościami. I organizacja życia społecznego musi stwarzać takie warunki, aby ludzie mieli co robić, aby nie czuli się zbędni. A na właściwą organizację życia społecznego składa się zarówno organizacja pracy w każdym zakładzie produkcyjnym, przedsiębiorstwie, instytucji, praca handlu, usług, organizacja wypoczynku, praca administracji, działalność organizacji społecznych.

Uchwała Rady Ministrów zwraca uwagę na problem marnotrawienia czasu, ale problemu tego nie rozwiązuje. Wszystko zależy od tego, jak będzie ona realizowana w praktyce. Potrzeba zatem kontroli, tak jak potrzeba kontroli jednej z poprzednich uchwał, tej o ograniczeniu narad i zebrań. Warto byłoby się przyjrzeć tu i ówdzie, czy tamta uchwała jest właściwie przestrzegana. Coś mi się bowiem zdaje, że niektóre instytucje i organizacje zapomniały już o jej istnieniu i o tym, że obowiązuje ona nadal.

MARCIN RODAK

Ze świata

Tydzień minął w naszym kraju pod znakiem wizyty sekretarza generalnego KC KPZR — Leonida Breżniewa. Warszawa powitała przywódcę radzieckiej partii bardzo serdecznie. Przeprowadzone w czasie wizyty rozmowy służyły zacieśnieniu współdziałania naszych partii, państw i narodów. Leonid Breżniew udekorował Edward Gierka najwyższym odznaczeniem radzieckim — Orderem Lenina, który przyznany mu został w 60 rocznicę urodzin.

Po 24-godzinnym pobycie w Polsce sekretarz generalny KC KPZR złożył wizytę w NRD.

Komentatorzy zachodni zwracają uwagę, że spotkania w Polsce i NRD nastąpiły bezpośrednio po moskiewskich rozmowach z doradcą prezydenta Nixona — Kissingerem i przed podróżą Leonida Breżniewa do NRF.

Tymczasem w Niemieckiej Republice Federalnej miały miejsce w ostatnich dniach dwa ważne fakty: Bundestag ratyfikował układ NRD—NRF i zaaprobował przystąpienie tego kraju do ONZ, a R. Barzel nieoczekiwanie ustąpił ze stanowiska przewodniczącego frakcji CDU/CSU.

Bundestag nie był w swych decyzjach jednomyślny. Ratyfikowanie układu z NRD odbyło się głosami koalicji rządowej, wspartymi tylko czterema głosami chadeckiej opozycji. Inaczej było z ustawą o przystąpieniu NRF do Organizacji Narodów Zjednocoznych. Za tą ustawą głosowali liczni deputowani CDU.

Debatę ratyfikacyjną poprzedziło ustąpienie Barzela ze stanowiska szefa opozycji w parlamencie. Powszechnie ocenia się, że krok ten był epilogiem porażki chadecji w wyborach do Bundestagu i sporów, jakie toczą się w CDU/CSU. Kryzys zaufania wobec Barzela doprowadził go do tej decyzji, która z kolei stawia partię chadecką w trudnej sytuacji. Dotychczas nie znaleziono następcy Barzela, ponoć najwięcej szans ma Schroeder, ale i wobec niego część deputowanych wysuwa zastrzeżenia. „W istocie rzeczy — pisze "Koelner Stadt Anzeiger" — jak okiem sięgnąć nikogo nie widać, kto by dzisiaj lepiej niż Barzel potrafił być klamrą spinającą w Bundestagu olbrzymią rozpiętość poglądów Unii". W szeregach CDU, a częściowo również CSU, panuje przygnębienie. Wielu uważa, że kiedy był Barzel było źle, ale bez niego będzie jeszcze gorzej. Chadecja jest wewnętrznie rozdarta: nie może spośród siebie wyłonić kierowniczej ekipy, nie potrafi też przedstawić atrakcyjnego dla wyborców programu. Samo zaś negowanie polityki Brandta okazało się niewystarczające. Któryś z bońskich komentatorów napisał przed kilku dniami, że obecnie stokroć ważniejsze niż pytanie, co będzie dalej z Barzelem — jest pytanie, co będzie dalej z CDU? Czy i ona przewróci się o układy wschodnie Brandta — wykaże czas.

Nowy tydzień rozpoczął się optymistyczną informacją: w Wiedniu po z górą trzech miesiącach wstępnych rozmów między delegacjami — przedstawiciele 19 państw zebrali się na obrady plenarne, aby omówić przygotowania do konferencji w sprawie wzajemnej redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie. Jak czytelnicy pamiętają — przeszkodą w podjęciu dyskusji plenarnych było przede wszystkim nieuzgodnienie statusu niektórych delegacji. Osiągnięty kompromis otworzył możliwość szerokiej dyskusji, w której trzeba będzie pokonać nie jedną jeszcze trudność. Planuje się, że zasadnicze rozmowy na temat zbrojeń rozpoczną się jesienią.

Komentując postęp w przedwstępnej fazie konsultacji — niektórzy obserwatorzy podkreślają, iż był on możliwy przede wszystkim w rezultacie przełamania oporu Brytyjczyków. Państwa NATO — piszą — nie występowały solidarnie. Taktyka zwlekania, stosowana przez niektóre kraje, denerwowała Stany Zjednoczone, które ostro nalegały na rezygnację z niej. Tak więc wiedeńskie konsultacje przebiegają od początku pod znakiem rozbieżności w obozie NATO.

A co dzieje się w Helsinkach, gdzie toczą się wielostronne rozmowy przygotowawcze do europejskiej konferencji bezpieczeństwa i współpracy?

Z napływających stamtąd informacji wynika, że utrzymują się jeszcze rozbieżności w niektórych sprawach. Panuje jednak przekonanie, że bieżący tydzień przyniesie nasilenie tempa rozmów i będzie miał znaczenie decydujące Obecnie hamulcem postępu są kwestie, dotyczące rozwoju kontaktów kulturalnych i informacji.

Z cyklu: rozmów, konsultacji i rokowań odnotujmy jeszcze jeden fakt — w Genewie rozpoczęła się kolejna tura radziecko-amerykańskich rozmów na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych. Jednym z tematów dialogu jest zawarcie traktatu, ograniczającego ofensywną broń nuklearną. Rozeszły się pogłoski, że dyskusja nad traktatem jest w fazie końcowej i że może on być gotowy do podpisu za miesiąc. Czy jest to informacja wiarygodna — dowiemy się wkrótce.

I ostatni temat przeglądu: Indochiny.

Proces przywracania pokoju w Wietnamie Płd. wciąż zakłócany jest przez administrację sajgońską. Przed kilku dniami Ministerstwo Spraw Zagranicznych DRW przesłało krajom, które uczestniczyły w konferencji paryskiej, notę, wykazującą systematyczne naruszanie porozumienia przez Sajgon. Chodzi tu nie tylko o incydenty zbrojne, ale również o sprzeczne z porozumieniem działania administracyjne. I tak np. administracja sajgońska rozpoczęła przeprowadzać wybory do rad wiejskich, chociaż wyłączne prawo do tego ma Rada Pojednania i Zgody Narodowej.

Przebieg realizacji paryskiego porozumienia ma być w tym tygodniu tematem rozmów w Paryżu przedstawiciela rządu DRW i doradcy prezydenta USA.

W innym indochińskim kraju — Kambodży — nadal trwają walki. W ostatnich dniach miały one szczególnie zacięty charakter, gdyż wojska Lon Nola próbowały odzyskać utracone wcześniej pozycje wzdłuż głównych szlaków komunikacyjnych.

WIESŁAW SŁAWSKI

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.

PRZED 100 LATY W KRAKOWIE

7 maja przypadła setna rocznica powołania do życia Akademii Umiejętności w Krakowie, przekształconej 22 września 1919 roku przez Naczelnika państwa na Polską Akademię Umiejętności. To przemianowanie dotyczyło jedynie zmiany protektora. Do czasów pierwszej wojny światowej był nim arcyksiążę dworu cesarskiego Austrii.

ZIEMOWIT MIEDZIŃSKI

Akademia Umiejętności była pierwszą w historii naszego kraju korporacją uczonych, co nie jest równoznaczne, że przed jej powstaniem nie było projektów powoływania do życia towarzystw naukowych. Jeszcze w roku 1768 Czartoryscy zamierzali stworzyć polską organizację naukową. Myśl jej założenia wystąpiła wyraźniej w 1773 r., gdy po likwidacji zakonu jezuickiego grono ludzi światłych pragnęło skupić najwybitniejsze jednostki naukowe tego środowiska w rodzaj akademii, zorganizowanej na wzór bujnie krzewiących się włoskich instytucji akademickich. Oprócz pielęgnowania nauk, polscy akademicy mieli zająć się także przygotowywaniem podręczników dla szkół Komisji Edukacji Narodowej. Jednakże ten zamysł natrafił na opór króla Stanisława Augusta, który obawiał się, aby nowa akademia nie wzięła w swoje ręce kierownictwa całego szkolnictwa, jak i na niechęć samej Komisji Edukacji Narodowej, pragnącej uniknąć rozbieżności w trudnych swoich poczynaniach. Skończyło się na założeniu w 1775 roku **Towarzystwa do Ksiąg Elementarnych**, którego funkcję określiła sama nazwa.

Problem powołania placówki naukowej inicjującej i organizującej prace badawcze, wyłonił się w Krakowie u schyłku XVIII wieku, gdy przystępowano do reformy starej i zasłużonej Wszechnicy Jagiellońskiej. Historia zrządziła, że dopiero po Kongresie Wiedeńskim i ustaleniu Statusu Krakowa jako „wolnego i neutralnego miasta", można było powrócić do sprawy utworzenia organizacji naukowej.

Inicjatywę w tym zakresie podjęli: **Jerzy Samuel Bandtkie** oraz **Walery Litwiński**, ówczesny rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Utworzona przez nich w 1816 roku korporacja naukowa otrzymała nazwę **Towarzystwa Naukowego Uniwersytetu Krakowskiego.** Już to towarzystwo skupiało uczonych nie tylko z Galicji, stwarzając tym samym podwaliny pod instytucję ogólnopolską. Po zlikwidowaniu w 1831 r. przez władzę carskie powstałego w 1800 roku **Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk**, stowarzyszenie krakowskie stało się najpoważniejszą placówką naukową na ziemiach polskich.

Czytając sprawozdanie ostatniego prezesa Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, **prof. dr. Józefa Majera** złożone przy obchodzie 50 rocznicy powstania tej organizacji w 1868 roku, łatwo skonstatować, że nawet bez funduszów na publikacje a także administrację, bo na te złożyli sami członkowie, spełniała ona w trudnych nad wyraz warunkach rolę akademii wcale nie gorzej, niż inne, subwencjonowane przez rządy gremia uczonych w I połowie XIX stulecia. Toteż po 56 latach istnienia spotkała ją nagroda przez przekształcenie na **Akademię Umiejętności.**

Stało się to w 1872 roku, gdy dzięki niestrudzonym wysiłkom **Jerzego Lubomirskiego** i interwencji ówczesnego prezydenta rady ministrów w Wiedniu, **Alfreda Potockiego**, rząd austriacki zatwierdził w styczniu 1872 roku statut Akademii Umiejętności w Krakowie. Statut ten, niewiele zmodyfikowany w 1919, podzielił Akademię na trzy wydziały: **filologiczny, historyczno-filozoficzny i matematyczno-przyrodniczy.** Najistotniejsze zadanie miały jednak komisje, w których koncentrował się właściwy trud akademików. Wszystkich komisji było jedenaście.

Pierwszym prezesem Akademii mianował cesarz dotychczasowego prezesa Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, **Józefa Majera** a sekretarzem generalnym słynnego profesora historii UJ, jednego z liderów historycznej szkoły krakowskiej, **Józefa Szujskiego.** Wyszli oni z grona pierwszej dwunastki członków Akademii Umiejętności, powołanych w dniach 11 i 13 maja 1872 roku, do której należeli oprócz nich jeszcze **Karol Estreicher** — bibliograf, **Julian Dunajewski** — ekonomista, **Józef Kremer** — filozof, **Karol Mecherzyński** — historyk literatury, **Wincenty Pol** — geograf, historyk literatury i poeta, **Lucjan Siemieński** — krytyk i historyk literatury, **Antoni Walewski** — historyk, **Stefan Kuczyński** — fizyk, **Ludwik Teichmann** — anatom, **Fryderyk Skobel** — patolog.

Po śmierci Wincentego Pola w dniu 2 grudnia 1872 roku, dokooptowano do składu **Józefa Łebkowskiego** — znakomitego historyka z obozu krakowskich stańczyków.

Narodziny Akademii Umiejętności dokonały się w momencie, gdy w dwóch pozostałych zaborach szalał antypolski terror, spotęgowany dodatkowo nieudaną ofiarą 1863 roku. Zgoda Franciszka Józefa I na inicjatywę polską była też obliczona na wyraźny efekt, zbiegając się z kulminacyjną falą Kulturkampfu i pierwszymi zarządzeniami ograniczającymi prawa polskości w zaborze pruskim oraz z wydaniem ustaw w Królestwie Polskim, które dopełniały w drastyczny sposób dzieła rusyfikacji, zintensyfikowanego po brutalnym stłumieniu powstania styczniowego. Tymczasem krok cesarza austriackiego zaznaczył się na arenie politycznej, a także wobec opinii polskiej i światowej jako wyłom w systematycznym niszczeniu kulturalnych tendencji polskich, realizowanych dotychczas w całkowitej harmonii przez zaborców w XIX w.

Wymowna pod tym względem jest wypowiedź wybitnego filozofa — dr **Karola Libelta**, który jako prezes **Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu** złożył niezmiernie charakterystyczny adres, w którym porównywał stosunki panujące w obydwu dzielnicach:

„My, co ledwie tolerowani jesteśmy w naszym naukowym zawiązku, do którego grona i prac zabroniony wstęp mężom naukowym, jeżeli w rządowej służbie nie zostają... musimy uczuć wielkie zadowolenie i radość, gdy panujący dziś w krajach austriackich monarcha uznając ważność narodowo-polskiego rozwoju nauk i umiejętności, zasłużone Towarzystwo Naukowe Krakowskie z własnego popędu wyniósł do wysokiego zaszczytu Akademii".

7 maja 1873 roku odbyło się uroczyste posiedzenie inauguracyjne Akademii Umiejętności, na które przybyli m. in. protektor tej instytucji, **arcyksiążę Karol**, brat Franciszka Józefa I. **Józef Szujski** wygłosił słynną orację **„O stosunku Akademii Krakowskiej do kraju i ruchu naukowym w powszechności"**, która wywołała prawdziwy entuzjazm, robiąc na słuchaczach duże wrażenia, ponieważ **„była napisana z sercem i do serca trafiała, lubo stała na gruncie czysto naukowym"**, jak pisał jeden ze sprawozdawców. Tego samego dnia przedstawiono listę nowych członków różnych kategorii, którzy dopełnili grona pierwszych akademików.

Polskie środowisko naukowe wiązało z powstaniem Akademii duże nadzieje, ponieważ instytucja ta została oparta na stałym budżecie państwowym co znacznie zwiększało możliwość pracy twórczej, badawczej i publikatorskiej. Fundusze wydawnicze tej placówki wydatnie powiększały dobrowolne składki i legaty osób prywatnych. W tym wypadku nieprzeciętne zasługi miał **Antoni Osuchowski**, jeden z cichych bohaterów Akademii, który nie ustawał w wysiłkach organizacyjnych i propagatorskich tej korporacji i w 1904 roku założył z **Henrykiem Sienkiewiczem Towarzystwo Popierania Wydawnictw Akademii.** Warto przecież wiedzieć, że Akademia Umiejętności położyła szczególne zasługi nie tylko na utrwalaniu w świadomości ogółu społeczeństwa wielkiego znaczenia nauki dla zachowania samoistnego bytu narodu, ale też dokonała wielkiego dzieła przez opracowanie ważnych tematów badawczych. Po raz pierwszy w Polsce podsumowano za jej staraniem dorobek naszych uczonych w różnych dyscyplinach, jak również opracowano katalog zabytków i zainicjowano ich konserwację oraz dokonano analizy wielu bezcennych dokumentów dotyczących historii naszego państwa.

Do najcenniejszych zdobyczy Akademii Umiejętności należą jej pomnikowe edycje w rodzaju **Bibliografii Polskiej** Karola i Stanisława Estreicherа, **Encyklopedii Polskiej, Polskiego Słownika Biograficznego, Atlasu Historycznego Polski, Starodawnych Prawa Polskiego Pomników, Atlasu Geologicznego Galicji, Monumenta Poloniae Historica, Monumenta Medii Aevi Historica Res Gestas Poloniae Illustrantia** i wiele innych.

Do wybuchu wojny w 1939 roku działalność Polskiej Akademii Umiejętności została przez okupantów zahamowana, ale nie ustawała, pomimo terroru. Natychmiast po wyzwoleniu reaktywowała swoją aktywność naukową, którą kontynuowała do roku 1952. W 1951, na I Kongresie Nauki Polskiej w Warszawie zapadła bowiem decyzja o połączeniu dwóch największych wówczas stowarzyszeń naukowych kraju: **Polskiej Akademii Umiejętności i Warszawskiego Towarzystwa Naukowego w Polską Akademię Nauk.**

HENRYK POLAK

GRAMY O ZIELONE...

Fot. J. Mendychowski

Żałowałem, że nie istnieje dom, w którym spędziłem dzieciństwo. Żałowałem, że nie mogę pokazać rachitycznego drzewka, które pieczołowicie hodował dozorca. W tej kamiennej studni, podobnej do tysięcy innych łódzkich podwórek, była to jedyna zielona enklawa i nawet największy rozrabiaka nie ośmielił się uszczknąć chociaż listka. Groziły mu wówczas cięgi nie tylko od pana dozorcy, czy ojca, chętnie sięgającego po pasek, ale także pierwszego lepszego sąsiada.

Dziś rozumiem, jakie znaczenie miała ta odrobina zieleni dla ludzi, którzy przez kilkanaście godzin wdychali pył bawełny głuchli od łoskotu krosien i toneli w oparach fabrycznych wykończalni. Żadnego z moich sąsiadów nie było stać na wyrzucanie pieniędzy, aby odwiedzić zamykany na klucz Park Sienkiewicza czy Park Źródliska, a wyjazd na Zdrowie przeliczany był na codzienne bułki, wkładane dziecku do tornistra.

Pamiętam jeszcze, jakim przeżyciem było dla mnie, kiedy kolega ze szkolnej ławy był łaskaw zaprosić mnie do własnego ogrodu, który jest dzisiaj ogólnie dostępnym parkiem przy zbiegu ulic Przybyszewskiego i Piotrkowskiej. Żelazne sztachety jeszcze w pierwszych latach po wojnie odgradzały od ulicy dawne pofabrykanckie pałacyki. I dlatego z taką satysfakcją burzono je później i ustawiano w alejkach ławki dla wszystkich.

I jeszcze jeden obrazek, który głęboko zapadł mi w pamięci. Byłem już wtedy dorosłym człowiekiem i rozpoczynałem wykonywanie profesji uprawianej do dziś. To miało posmak Clochemerle. Mer miasta — tym razem nie przecinał wstęgi — miał w ręku siekierę i do niego należało pierwsze uderzenie w przybytek, pachnący na odległość, z wyciętym serduszkiem w drzwiach. Rozbijana sławojka miała w sobie coś z symbolu. Kunitzerowskie domki otrzymały przecież wodę i w korytarzach wydzielono kąt na porcelanowe muszle i zbiorniczki z napisem „patent".

I dlatego tak bardzo żachnąłem się, kiedy dziennikarz z innego miasta, podczas spotkania z łódzkimi, władzami, powiedział, że Łódź to nadal brudne i złe miasto. Opowiedziałem mu to samo, co napisałem na początku, o owych symbolach przemian. Opowiedziałem mu również i o tym, czego już dokonaliśmy, a czego zbyt często sami nie zauważamy: o nowych osiedlach, o nowych fabrykach na obrzeżach miasta, o tysiącach drzew i krzewów, zasadzonych przez mieszkańców Śródmieścia, Polesia i Górnej.

Kiedy broni się dobrego imienia własnego miasta, mówi się o blaskach. Ale nie sposób ukryć cieni. Bo wbrew pozorom nie wieżowce, ele-

Dalszy ciąg na str. 4

Listy do Redakcji

OD REDAKCJI.

Drukujemy prawie w całości list dyrekcji POM w Rąbieniu, z pewnym opóźnieniem, ponieważ wydawało się nam, że słuszne postulaty pracowników tego przedsiębiorstwa i wszystkich mieszkańców wsi, znajdą ze strony zainteresowanych prezydiów rad narodowych jeśli nie natychmiastową realizację, to przynajmniej szybkie i rzeczowe zajęcie stanowiska. Jednakże od terminu wysłania pisma POM minęło 6 tygodni, nie ma żadnej reakcji. — Postanowiliśmy więc z tej sprawy uczynić problem publiczny. Rozumiemy, że sprawa nie jest łatwa do zrealizowania, że są trudności z taborem samochodowym, że nie wystarcza środków na modernizację dróg, ale trudno się pogodzić z faktem, że jedyna (wg naszego rozeznania) duża wieś w powiecie łódzkim, jest pozbawiona w ogóle środków komunikacji.

Cierpliwość mieszkańców Rąbienia przez zbyt wiele lat wystawiana była na ciężką próbę, by w obecnych czasach zrozumienia i troski o byt i właściwą egzystencję ludzi pracy, można było z tą sprawą dłużej zwlekać.

Na ile się orientujemy, trudności rozwiązania tej sprawy polegają również na wzajemnych zależnościach kompetencyjnych. Jest to bowiem zarówno sprawa Powiatowej Rady Narodowej w Łodzi, Rady Wojewódzkiej, Rady Narodowej m. Łodzi (MPK to przedsiębiorstwo „łódzkie"). Ale wydaje się, że coraz lepsza współpraca i koordynacja wielu poczynań między Łodzią a województwem przyniesie również pozytywne rezultaty i w tej sprawie, nie wymagającej przecież wielkich nakładów inwestycyjnych i środków finansowych.

Oczekujemy na listy od zainteresowanych, a najchętniej na wiadomość, że autobus do Rąbienia już kursuje.

Dyrekcja, Rada Zakładowa, Rada Robotnicza, Podstawowa Organizacja Partyjna oraz pracownicy Państwowego Ośrodka Maszynowego w Rąbieniu zwracają się z uprzejmą prośbą o uruchomienie linii autobusowej MPK z Łodzi do Rąbienia. Uruchomienie w/w linii jest niezbędne dla właściwej działalności oraz rozwoju POM. Przedsiębiorstwo nasze świadczy usługi w zakresie remontów, chemizacji, regeneracji części, instalowania baz paliw, mechanizacji gospodarstw indywidualnych dla całego powiatu łódzkiego, a w niektórych przypadkach, jak regeneracja części, produkcja wiązek elektrycznych, budowa baz paliw itp. — dla całego województwa.

Usługi świadczymy dla jednostek uspołecznionych i indywidualnych gospodarstw chłopskich.

Nadmieniamy również, że przy naszym przedsiębiorstwie istnieje Zasadnicza Szkoła Zawodowa Mechanizacji Rolnictwa, do której dojeżdża codziennie około 40 uczniów.

W projekcie mamy wybudowanie Wojewódzkiego Ośrodka Doskonalenia Kadr. Państwowy Ośrodek Maszynowy mieści się we wsi Rąbień, która położona jest między Aleksandrowem i Konstantynowem z dala od linii komunikacyjnych PKS, MPK czy tramwajowej. Rąbień i przyległe doń wioski nie mają żadnego połączenia komunikacyjnego z Łodzią. Z Rąbienia do Aleksandrowa jest 4 km błotnistej i piaszczystej drogi, do Konstantynowa 6 km, a do przystanku tramwajowego w Reymontowie przy ul. Szczecińskiej około 5 km.

Takie położenie przedsiębiorstwa w ogromnym stopniu ogranicza możliwości kontaktu z naszymi klientami, których z racji profilu produkcyjnego — mamy do 50 dziennie.

Również pracownicy zatrudnieni w POM i ucząca się młodzież szkolna z Zasadniczej Szkoły Zawodowej i Szkoły Podstawowej Ogólnokształcącej są pozbawieni dostępnych środków komunikacji dla dojazdu do szkoły czy pracy i powrotu do domu.

W Rąbieniu mieści się również Urząd Pocztowy, Ośrodek Zdrowia, Agronomówka, Kółko Rolnicze, do których praktycznie interesanci nie mają dojazdu.

Nadmienia się również, że w Łodzi pracuje około 700 mieszkańców byłej Gromady Rąbień i uczy się ok. 80 uczniów szkół wyższych, średnich i zawodowych. Donosimy również, że obecnie Urząd Gminy został ziokalizowany w Aleksandrowie i dojazd do gminy w celu załatwienia różnych spraw przez mieszkańców jest bardzo utrudniony.

Pragniemy podkreślić, że w przedsiębiorstwie naszym 70 osób dojeżdża do pracy w Łodzi, a w trakcie dnia ok. 10 osób musi nieraz kilkakrotnie udać się do miasta w celu załatwienia spraw służbowych.

Nie wykorzystany jest z powodu braku odpowiedniej komunikacji czas pracy pracowników załatwiających bieżące sprawy służbowe jak również przeciążone i niewykorzystywane do właściwych celów zbyt skąpe środki transportu własnego.

Sygnalizujemy, że mamy nie wykorzystany w pełni park maszynowy, z drugiej zaś strony nie jesteśmy w stanie uruchomić pracy na 2 zmiany.

Obecnie do pełnego stanu zatrudnienia brak nam 20 pracowników fizycznych i 10 pracowników kadry technicznej.

W sprawie uruchomienia linii autobusowej zwracali się do nas z prośbą o pomoc mieszkańcy wsi poprzez swoich przedstawicieli, twierdząc, że problem jest do tej pory nie zrealizowanym postulatem mieszkańców tutejszej Gromady dwóch ostatnich kampanii wyborczych.

Z postulatem tym występowali mieszkańcy wsi Rąbień nie tylko w czasie kampanii wyborczych, ale również przy innych okazjach.

Sprawa ta była bardzo mocno zaakcentowana przez załogę na ostatnim zebraniu sprawozdawczym Rady Zakładowej i Rady Robotniczej naszego przedsiębiorstwa i postawiona we wnioskach do realizacji. Postulat nasz popiera również ziokalizowana obok POM Spółdzielnia Pracy Chemików „Xenon", która boryka się z identycznymi niemalże trudnościami.

Zaznacza się, że droga łącząca Rąbień z Łodzią na całej długości posiada nawierzchnię uszlachetnioną (smołówka), w związku z czym wykluczona jest obawa nadmiernego niszczenia taboru komunikacyjnego. Ponadto odcinek drogi prowadzącej przez Rąbień i Antoniew posiada oświetlenie rtęciowe. Zapewniamy przy tym, że zobowiązujemy się wygospodarować miejsce i urządzić w czynie społecznym plac pod pętlę autobusową oraz wybudować poczekalnię na przystanku autobusowym. Jak z powyższego wynika, uruchomienie linii autobusowej MPK z Łodzi do Rąbienia jest sprawą bardzo palącą i możliwą tym bardziej, że istnieją ku temu jak najlepsze warunki.

Jeszcze raz bardzo prosimy o rzeczowe i serdeczne potraktowanie naszej prośby i pozytywne ustosunkowanie się.

Bylibyśmy wdzięczni gdyby uruchomienie linii nastąpiło od 1 maja 1973 r., gdyż wiązałoby się to z 25-leciem istnienia naszego Przedsiębiorstwa.

Uruchomienie linii autobusowej byłoby ukoronowaniem słusznych żądań wszystkich zainteresowanych a jednocześnie pięknym gestem dla pracowników POM.

Dyrektor mgr inż.
FRANCISZEK NADŁONEK

Komitet Gminny PZPR w Aleksandrowie popiera wniosek o uruchomienie linii autobusowej do Rąbienia.

Sekr. KG PZPR
JÓZEF ŚNIEG

GK ZSL w całej rozciągłości popiera wniosek o uruchomienie linii autobusowej do Rąbienia.

Za GK ZSL
mgr inż.
STANISŁAW MIELCZAREK

Gminna Rada Narodowa w Aleksandrowie Łódzkim popiera prośbę POM Rąbień.

Przewodniczący
Gminnej Rady Narodowej
inż. KAZIMIERZ KOWALSKI

GRANDOLOGIA

(IV)

Trzy poprzednie odcinki GRANDOLOGII — **„UWERTURA HISTORYCZNO-ZACZEPNA", „RAPORT NIEOBECNYCH"** i **„HIGH SOCIETY"** — oraz wyłączony z cyklu, ale oscylujący wokół pokrewnej tematyki **„ODBIJANY"** wywołały duży rezonans społeczny. Zawdzięczam temu dziewięć wieczorów autorskich, kilka burzliwych wizyt opisanych osób w redakcji, kilkanaście anonimowych telefonów z pogróżkami i gratulacjami, a także cały szereg listów, których autorzy tylko w czterech wypadkach zdecydowali się ujawnić „ODGŁOSOM" swoje nazwiska.

Nie wszystkie listy zdecydowaliśmy się wydrukować, choć żaden z nich nie podważał zawartych w reportażach faktów i wniosków, co utwierdziło nas w przekonaniu, że GRANDOLOGIA jest prawdziwym, ale raczej łagodnym odbiciem rzeczywistości...

W wielu wypadkach autorzy starali się poszerzyć nasze granice poznania. Oto jeden z nich zapytuje, co się stało z ogromnym, kosztującym 125 tysięcy złotych dywanem, który jeszcze do niedawna leżał w hallu pewnego hotelu, ażeby nagle ustąpić miejsca jakiejś szmacie. Drogi Czytelniku, nie potrafimy udzielić Ci kompetentnej odpowiedzi, zresztą z tonu Twojego listu wynika, że jesteś w tej sprawie nieźle zorientowany, toteż powinieneś chyba zwrócić się ze swoją rozterką do innych instytucji.

„Z przykrością stwierdzam, że Pana „Grandologia" jest napisana w sposób dziecinny i szkolny — donosi inny rozczarowany Gal Anonim. — Zbyt jaskrawo widać, że jedynym celem Pana jest piętnowanie tego wszystkiego, co dzieje się w „Grandzie". Chcę powiedzieć Panu, że sam (? — A. M.) próbowałem wielokrotnie z tym walczyć (...). Mogę odstąpić prawdę o łódzkich kawiarniach i restauracjach, o ludziach, ale pod jednym warunkiem, że napisze Pan bez koloryzowania. Powinno Panu wystarczyć na razie, jeżeli przedstawię jedynie swoją osobę jako „Rafał". „Rafał" to zarazem hasło, na które będzie mógł Pan pisać na Pocztę Główną na poste-restante. Proszę podać swoje hasło. Ta dziwna ostrożność ma swoje podłoże, chcę wszystko i dokładnie powiedzieć, co wiem. Pan będzie pytał, wymieniał kawiarnie i restauracje, a ja postaram się o wiadomości, żeby wzbogacić Pana opowieść. Może się Pan nie zgodzić, ale pewien jestem, że tak nie będzie, bo to, co Pan napisał, jest wyłącznie Pana obserwacją i domysłem, a tu potrzebne są fakty. Po wysłaniu listu za kilka dni zgłoszę się na pocztę. Co dalej, zobaczymy".

Niezwłocznie wystosowałem do „Rafała" pismo, jednakże, jakkolwiek było to bez mała przed dwoma miesiącami, daremnie oczekuję na odpowiedź.

W powodzi pikantnych plotek i szczegółików, którymi uraczyli naszą redakcję wywodzący się z różnych kręgów społecznych czytelnicy, na wnikliwą uwagę zasługuje pełen troski i rozwagi list człowieka, który miał odwagę podać swoje nazwisko i adres. Jego spostrzeżenia w znacznej mierze pokrywają się z naszymi, świadcząc o tym, że obok zjawiska jawnej, zdeterminowanej prostytucji, toczy się również nurt zakamuflowanego, amatorskiego nierządu, który w wielu wypadkach uprawiają dziewczyny z tak zwanych dobrych rodzin. Ten niemłody już pięćdziesięcioparoletni człowiek został pewnego dnia zaczepiony w pasażu ZMP przez strojnie ubraną, niewinnie wyglądającą nastolatkę. Zrobiła mu niedwuznaczną propozycję, z której, rzecz jasna, nie skorzystał, dając jej ostrą odprawę. W kilka tygodni później, na proszonym, wykwintnym obiedzie, doznał szoku. Po drugiej stronie stołu siedziała z wyrazem panicznego strachu w oczach jego „znajoma" z pasażu, będąca, jak się okazało, córką czcigodnych gospodarzy. Jak należy się w takiej sytuacji zachować? Milczeć? Powiadomić rodziców, narażając się na ich niesprawiedliwą, lecz zrozumiałą nienawiść? Panienka błagała go o dyskrecję, przyrzekała poprawę, a swój upadek tłumaczyła potrzebą zdobycia pieniędzy na adekwatne do swojej urody i pozycji ciuszki...

Przeprowadziłem również niezliczoną ilość sondażowych rozmów z ludźmi, którzy działają społecznie i w mniejszym lub większym stopniu znają poruszane przeze mnie sprawy.

Nie ukrywam, że obok głosów **„na tak"**, uznających potrzebę moich reportaży, spotkałem się też z głosami **„na nie"**, zarzucającymi mi chęć epatowania czytelników i robienia sensacji.

Jakkolwiek moje autorskie intencje były szczere i słuszne, czuję się w obowiązku przedstawić refleksje szefa jednej z łódzkich gazet, dziennikarza o wielkim doświadczeniu i rzetelnej wiedzy, który — będąc mi życzliwy — zarzuca „Grandologii" błąd w sztuce dydaktycznej. Odnosi się to szczególnie do odcinka **„High Society"**, gdzie — wedle mojego oponenta — zachwiałem proporcje pomiędzy nędzą i blaskiem życia kurtyzany: za mało nędzy, za dużo blasku, za mało opisów staczania się dziewczynek do rynsztoka, za dużo opisów oszałamiających karier tych, które powinny egzystować w społecznych strefach pogardy.

Co mam w odwodzie? Chyba to, że dotychczas prostytucja z reguły była pokazywana przez dziennikarzy w tym nędznym aspekcie, że w świadomości społecznej zawsze się wiązała z melinami, najgorszymi knajpami i ulicami, rzadko kto natomiast podejrzewał, że istnieje także nierząd na wysoki połysk, otoczony wyrafinowanym przepychem, kpiący sobie z litery prawa i uczciwych, ciężko pracujących ludzi.

Czy moje pisanie nie wprowadza przypadkiem kogoś w błąd?

FINAŁ PATETYCZNY

— Ile jest w Warszawie tych bogatych prostytutek? Pięćdziesiąt? Sto? — atakował mnie inny dziennikarz.

— Powiedzmy...

— Więc to żaden problem, jeśli się, oczywiście, weźmie pod uwagę, że znacznie więcej jest złodziei, malwersantów i innych przestępców.

— Uważam, że stanowią bardzo krzykliwą, wyzywającą mniejszość tak zwanego marginesu, a w wypadkach, kiedy legitymują się średnim lub wyższym wykształceniem, dają wiele do myślenia...

— Prostytucja jest nie tyle zawodem, co rodzajem mentalności, z którą walczyć jest bardzo trudno. Twoje pisanie może nasunąć wniosek, że kobiecie z wyższym wykształceniem bardziej opłaci się nieraz uprawiać nierząd, niż pracować w wyuczonym zawodzie.

— Byłby to fatalny wniosek. Stopy życiowej nie mierzy się przecież dorobkiem kilku tłustych sezonów...

— I nie wychodzisz z żadnymi konkretnymi propozycjami. Może w ogóle takich nie masz?

— Mam.

— Na przykład?

— Gdybym był rektorem jakiejkolwiek wyższej uczelni i dowiedział się, że któraś z moich studentek albo absolwentek została ewidentnie przyłapana na uprawianiu nierządu, w pierwszym wypadku wyrzuciłbym ją na zbity pysk z uczelni, a w drugim — momentalnie unieważniłbym jej dyplom i do końca życia pozbawił ją możliwości wykonywania wyuczonego zawodu.

— Byłoby to posunięcie drastyczne i niedemokratyczne...

— Ale za to radykalne i odstraszające.

— Stwarzałoby pole do rozmaitych nadużyć.

— Jakich?

— Chociażby fałszywych donosów.

— Powtarzam: nierząd ewidentny, zarejestrowany w milicyjnej kronice, nie mający nic wspólnego z wybujałym temperamentem seksualnym, który może się trafić w najporządniejszej rodzinie.

Dała mi również wiele do myślenia przeprowadzona w nocy przez telefon rozmowa z jakąś anonimową, wnosząc z głosu — nie najmłodszą już kobietą. Jej zdaniem, całkowicie pominąłem w „Grandologii" aspekt ludzki zagadnienia, nie starając się zgłębić przyczyn, dla których niejedna z porządnych dziewczyn czy kobiet jęła się tego plugawego zajęcia. Obciążenia dziedziczne, brak właściwej opieki i wychowania, nieszczęśliwa miłość, namowa partnera, poślizg w pracy, albo nagły, tragiczny krach rodzinny — wszystko to nierzadko prowadzi do rezygnacji z uczciwego życia.

Przyznam szczerze, że nie przekonują mnie te sentymentalne wynurzenia. Godność ludzka potrafi się obronić przed każdym, najsurowszym nawet doświadczeniem. Ponadto nie jest przecież tajemnicą, że prostytutki nie są wcale pozbawione szans wydobycia się z matni. W każdym dużym mieście Obyczajówka robi wszystko, aby — jak to się mówi — wprowadzić je na właściwą drogę. Perswazje, napomnienia, propozycje podjęcia normalnej pracy albo nauki... Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby kobiety te poddały się dobrowolnie procesowi oczyszczenia, aczkolwiek — gdyby na to przystały — jeszcze przez długi czas mogą ponosić konsekwencję swojego upadku.

— Pan myśli, że nie chciałam kiedyś z tym zerwać? — zwierzała się jedna z nich dziennikarzowi. **— Wynajęłam pokój w innej dzielnicy, poszłam do roboty w zakładzie, gdzie nikt mnie nie znał, ale później sprawa się wydała przez pewną urzędniczkę, i nie tyle mężczyźni co kobiety zaczęły zatruwać mi życie. Na każdym kroku spotykałam krzywe spojrzenia, ironiczne uśmiechy, złośliwe uwagi, do dyrekcji ciągle ktoś pisał na mnie donosy, że kradnę, wynoszę przez portiernię towar w majtkach, i że jestem kochanką magazyniera. Żona tego człowieka zrobiła mi przy okazji wielką awanturę, a jak odpaliłam innym razem pijanego szoferaka, to wrzeszczał potem na zebraniach Rady Zakładowej, że dla takich jak ja nie powinno być miejsca w uczciwej fabryce, i żebym wracała na ulicę. No to wróciłam.**

— Tak z miejsca?

— A jak? Przecież musiałam z czegoś żyć i utrzymać matkę.

— Zabrakło pani silnej woli i wytrwałości. Za rok, dwa, ludzie uwierzyliby w pani uczciwość. No i w każdej fabryce trafi się ktoś mądry, sprawiedliwy, gotowy bronić słusznej sprawy.

— Ja tam laski nie potrzebuję. Źle mi nie jest, a do emerytury i tak nie dociągnę, bo mam gruźlicę.

Swoista, chora filozofia, wobec której człowiek czuje się bezradny.

— Ile masz lat? — pytam stojącą pod „Savoy'em", przyciśniętą do muru dziewczynkę.

— Trzynaście.

— I co tu robisz po nocy?

— Czekam na mamę.

— A gdzie jest mama?

— Na dansingu.

— A dlaczego nie czekasz na mamę w domu?

— Bo mama zapomniała mi zostawić u sąsiadki klucze, a dozorca nie może otworzyć drzwi żadnym wytrychem.

— Poczekaj tu — powiedziałem.

Podszedłem do drzwi restauracji, jednakże była to sobota i kłębił się przed wejściem tłum pijaków. O tym, żeby dostać się do środka, nie było nawet mowy. Pomyślałem, że bez milicjanta nic nie wskóram, więc postanowiłem iść z tą małą na Piotrkowską i tam go poszukać.

— Pan mnie zostawi — powiedziała.

— Dlaczego?

— Mama będzie zła, jak jej przyprowadzę milicję.

— A co mama robi?

— ...

— No, powiedz!

— ...

— A jak się nazywasz?

— Lusia...

— Ale nazwisko?

Zaczęła uciekać. Nie wiem, czy był to strach przed matką, czy też wstyd przed obcym, który zdołał przeniknąć tajemnicę...

I znowu nie wiedziałem, jak należy postąpić, żeby być w zgodzie z prawem i własnym sumieniem. Jedno jest pewne: **obok problemu upadłych kobiet istnieje również problem ich dzieci, które nie zawsze zostają w porę wyizolowane z niszczących wpływów środowiska, i w których psychice często następują nieodwracalne zmiany.**

✲ ★ ✲

Zdając sobie sprawę z niedoskonałości moich reportaży — bo przecież niektóre problemy zdołałem zaledwie zamarkować, inne potraktowałem zbyt powierzchownie, a jeszcze inne pominąłem milczeniem — w dalszym ciągu oczekuję na rozważne, postulatywne listy w tej sprawie, wierząc, że głosy Czytelników skorygują bądź uzupełnią zawarte w Grandologii refleksje.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

GRAMY O ZIELONE

Dalszy ciąg ze str. 3

ganckie estakady i betonowe ulice, ale owo samotne drzewko, które wspomniałem na początku, ma kapitalne znaczenie. Ta odrobina zieleni, te przysłowiowe liściaste płuca, decydują przecież o stanie naszego zdrowia, mają wpływ na naszą psychikę i samopoczucie.

Pierwsze ogólnopolskie sympozjum dziennikarzy, zorganizowane w Łodzi, na temat problemów ochrony środowiska człowieka, miało podwójne znaczenie. Zbiegło się przecież z jubileuszem miasta i początkiem jego wielkiej przebudowy. Przebudowy tym trudniejszej, że trzeba naruszać istniejącą strukturę miejskiego organizmu, a więc usuwać duże budynki, przemieszczać zakłady produkcyjne, budować nowe ciągi komunikacyjne, czyli mówiąc po prostu — przystosować gród nad Łódką do wymogów współczesnego życia.

Początkiem tej batalii była **walka z kominami.** Ponad 150 udało się zlikwidować. Ale nadal jeszcze każdego roku na kilometr kwadratowy powierzchni Łodzi spada 250 ton pyłu. Część tego pyłu osadza się w naszych płucach, powodując choroby układu oddychania i krążenia.

Nie jest to jedyna cena, którą płacimy za dobrodziejstwo cywilizacji. Chyba każdy z łodzian pamięta, że przed kilku laty piliśmy herbatę z fenolowym zapaszkiem. I nie pomagało nawet kilkakrotne gotowanie wody. Wtedy też padła nazwa **„Koniecpol".**

Znam Koniecpol. Byłem nawet przy uruchamianiu pierwszych maszyn. Zafascynowała mnie wówczas ta fabryka płyt spilśnionych, gdzie większość operacji wykonywały automaty. Czułem się jak w XXI wieku. Ale dopiero po latach poczułem smak tej nowoczesności w szklance z herbatą. Koniecpol odprowadzał bowiem ścieki do Pilicy, z której czerpiemy wodę dwoma nitkami rurociągu. Żeby więc nitkami nie łatać dziur w bilansie wodnym, trzeba było zdecydować się na radykalne rozwiązania. Przyszłe **podsulejowskie jezioro**, które będzie dostarczać wodę miastu, ma mieć prawie półtora kilometra szerokości i kilkanaście kilometrów długości. Po raz pierwszy w Europie buduje się zbiornik wodny na podłożu wapienno-kredowym. Niebezpieczeństwo jest wielkie. Woda może, po prostu, wsiąkać w ziemię; aby usunąć owe niebezpieczeństwo, trzeba wyłożyć prawie 100 ha dna plastikową folią.

Łódź w porozumieniu z województwem, jako pierwsza w kraju tworzy w okolicach Sulejowa **strefę ochronną środowiska człowieka.** Nie będzie tu budowany ani jeden zakład przemysłowy. Będzie to więc ogromny teren rekreacyjny z prawdziwego zdarzenia.

O kilka kilometrów od sulejowskiego zbiornika buduje się nowoczesną autostradę. Zarówno ja, jak i koledzy po piórze, byliśmy zdziwieni, że w chwili, gdy wyprostowuje się najważniejsze drogi — tutaj zrobiono duży łuk. Zrobiono go po to, aby uratować kilkadziesiąt hektarów lasu. W tym przypadku nawet specjaliści od transportu zgodzili się z faktem, że strata drzewostanu byłaby zbyt kosztowna w stosunku do zysków, osiągniętych przez przepuszczenie autostrady środkiem lasu.

A właśnie nad losami drzew zażarcie dyskutowano podczas drugiego dnia sympozjum. Wiceprzewodniczący Prezydium RN m. Łodzi — **dr Ksawery Krassowski** długo musiał tłumaczyć, dlaczego droga łącząca nowe osiedle Retkinia z centrum prowadzona będzie przez najpiękniejszy w naszym mieście Park Poniatowskiego. W tym przypadku ofiara ta jest, niestety, konieczna.

Łódź ma rozwinięte, choć niezgodnie z współczesnymi wymaganiami, szlaki komunikacyjne z północy na południe. Inaczej wygląda sprawa z zachodu na wschód. Już dziś — obok Dworca Kaliskiego — tworzą się kilometrowe korki. A co będzie po zakończeniu budowy stutysięcznej Retkini — strach pomyśleć.

Ale pomyśleć trzeba. I o istniejących już nowych osiedlach mieszkaniowych. Tych, których nie najlepszym przykładem jest **Dąbrowa**, całkowicie ogołocona z drzew. Wystarczy lekki powiew wiatru, by kurz wznosił się na wysokość czwartego, piątego piętra. Nie pomoga nawet uszczelniania okien przy pomocy tak zwanej szwedzkiej taśmy. Sam mieszkam w takim osiedlu. Pod oknami mojego bloku ostał się parterowy budynek. Wiem, że przy obecnym głodzie mieszkań, byłoby bezsensem likwidowanie tej „powierzchni mieszkaniowej". Ale nie mogę zgodzić się z faktem, że nowe osiedle pozbawione w zamyśle dymu z kuchennych palenisk, jest zadymiane przez takie właśnie domki.

Na **Zarzewie** i **Teofilowie** jest ich kilkanaście. Nie byłoby chyba zbyt hojnym podarunkiem dla właścicieli podłączenie ich domów do ciepłociągów i sieci gazowej. Smrodu i pyłu byłoby dużo mniej, a rozłożenie na dogodne raty kosztów tej inwestycji dla obu stron byłoby korzystne.

To jedna z propozycji. Inicjatyw w oczyszczeniu atmosfery łódzkiej było i jest sporo. Pamiętam, jak przed kilku laty uczniowie ze szkół i ZMS-owcy z fabryk spędzali niedziele przy sadzeniu drzew i krzewów, przy wytyczaniu pierwszych alejek na wolnych terenach między osiedlami **Koziny** i **Żubardź**. Przed paru miesiącami z przykrością zauważyłem, że na przygotowanym pod park terenie rozpoczęto prace budowlane. Nie jedyna to **zmarnowana szansa.** Wystarczy przypomnieć **Głowno.** Jeszcze dziś, przejeżdżając z Łowicza, widać splantowane koryto rzeki Mrogi. Sam pomagałem w przygotowaniu tego terenu pod ośrodek rekreacyjny. Pozostało tylko wspomnienie i gorycz ze zmarnowanego wysiłku. Zmarnowanego, bo ktoś, projektując ośrodek, zapomniał, że istnieje niebezpieczeństwo podmycia przez zebrane w zbiorniku wody, ulic Głowna.

Nie jestem hurra-optymistą i dlatego do tej pory nie wspomniałem o parku na **Zdrowiu.** Nie chcę zapeszyć. Jest to bowiem tradycyjne miejsce wypoczynku łodzian. Formy tego wypoczynku były wielokrotnie wykpiwane. Bo rzeczywiście, herbatę trzeba było wozić w butelkach, o kupieniu bułki można było jedynie pomarzyć, a już ogromną odwagą było zażycie kąpieli w bajorku, do którego ścieki kierowali kolejarze.

Zmiany, jakie następują, najlepiej widać na przykładzie ogrodu zoologicznego i botanicznego. Trwają również przygotowania do budowy pierwszych basenów kąpielowych. Jest to początek parku kultury i wypoczynku. Jeżeli realizacja tych zamierzeń będzie przebiegała zgodnie z projektem i mieszkańcom starczy zapału — będzie to ośrodek rekreacyjny z prawdziwego zdarzenia.

Nie popełnię chyba błędu — wierząc, że każdy z łodzian, mający w pamięci ten zielony fragment swojego podwórka, o którym wspomniałem na początku, pomoże w budowie miejsca, gdzie świergot ptaków nie będzie zagłuszany przez samochody, gdzie trawa będzie autentycznie zielona, a zapach lip i akacji nie będzie przeplatał się z kominowym smrodem.

HENRYK POLAK

„ZJAZD RODZINNY"

W pięć lat po pierwszej, wydanej u nas powieści Petera Härtlinga „Niembsch albo bezruch", ukazała się w serii „Nike" następna książka tego zachodnioniemieckiego, współczesnego poety, prozaika i eseisty. Czytelnicy, pamiętający poprzednią powieść Härtlinga, doszukają się w „Zjeździe rodzinnym" tych samych nieprzeciętnych walorów intelektualnych i literackich.

Bohaterami powieści „Zjazd rodzinny albo koniec historii" — tak bowiem brzmi jej pełny tytuł — są dwaj bracia Lauterbachowie: Georg, profesor filozofii i teolog Emanuel, żyjący w połowie XIX wieku. Georg, który przypomina sobie pewne wydarzenia z młodości, usiłuje ustalić ostateczną prawdę o nich, szuka ich przyczyn, motywów, następstw. Ale okazuje się to niemożliwe. Okazuje się, że to samo wydarzenie wygląda zupełnie inaczej w oczach innych, dawne fakty nabierają innego znaczenia, nie ma ostatecznej prawdy o przeszłości człowieka.

Dla Härtlinga losy braci Lauterbachów są tylko okazją do rozważań o historii, bo ta przede wszystkim zajmuje autora „Zjazdu rodzinnego". W historii przetrwają losy narodu, zachowają się fakty i wydarzenia z jego przeszłości. Ale co stanie się z przeszłością pojedynczego człowieka? Co pozostanie po Georgu Lauterbachu, kiedy w kilkanaście lub kilkadziesiąt lat po jego śmierci, jego potomni spotkają się na rodzinnym zjeździe? Pozostanie kilka dat, kilka faktów.

Peter Härtling — „Zjazd rodzinny albo koniec historii", przekład Ireny Naganowskiej, Czytelnik — 1973, str. 351, cena: zł. 22,—

TYPOWY RODOWÓD

Pamiętniki, wspomnienia, relacje naocznych świadków z okresu drugiej wojny światowej robią nadal karierę. Historycy penetrują coraz to nowe zasoby archiwów, ale nim ich relacje ukażą się drukiem, ludzie najchętniej sięgają po przekazy uczestników i bohaterów zmagań z najeźdźcą w różnych częściach Europy. Wydawnictwo Łódzkie dostarczyło miłośnikom tej literatury nową pozycję. Jest nią tom wspomnień Nikołaja Moskwina pt. „Partyzanckie szlaki". Są to dzieje partyzanckiego pułku, a później formacji „Trzynastu".

Nikołaj Moskwin jest sekretarzem Obwodowego Komitetu KPZR w Smoleńsku, a w czasie wojny był dowódcą batalionu w pułku „Trzynastu". Jego książka miała już trzy wydania w Związku Radzieckim. A autor na wieść o polskim wydaniu, wystosował do polskiego czytelnika list, w którym przeprasza, że liczne zajęcia nie pozwoliły mu zająć się również losami Polaków, którzy dość licznie walczyli u boku radzieckich partyzantów. Wymienia tylko ich nazwiska: Henryk Hempel ze wsi Czemża w Poznańskiem, Mikołaj Demiakow z Warszawy oraz Józef Kluczka, Antoni Koczub, Józef Tauryd, Bronisław Bejnarowicz i wielu innych, o których nie wiadomo, skąd pochodzili i jakie były ich późniejsze losy, kiedy przeszli już do szeregów I Armii Wojska Polskiego.

Typowe dla ówczesnych czasów były narodziny partyzanckiego oddziału. Jego dowódcą został bezpartyjny nauczyciel, młodszy lejtnant Siergiej Griszyn, dowódca plutonu czołgów. Próbował wraz z grupą żołnierzy przedrzeć się na wschód. Na tyłach wroga trafiła do jego rąk odezwa KC WKP(b), wzywająca do tworzenia oddziałów partyzanckich. Nawiązał kontakt z partyjnym podziemiem i tak na tyłach wroga powstał jeszcze jeden oddział partyzancki. Nadano mu imię „Trzynastu", a wzięto je z popularnego przed wojną filmu radzieckiego, opowiadającego bohaterską walkę 13 czerwonoarmistów, okrążonych w Turkiestanie przez bandy basmaczów. Chcieli być jak oni niezłomni.

Nikołaj Moskwin — „Partyzanckie szlaki", Wydawnictwo Łódzkie — 1973, tłumaczenie Sabiny Nowickiej-Kocznow, str. 446, cena: zł 30,—

„ZAKLĘTY KRĄG"

Literatura skandynawska znalazła sobie u nas wielu zwolenników. Zasługa to Wydawnictwa Poznańskiego, które od lat konsekwentnie i systematycznie dostarcza na lady księgarskie coraz to nowe pozycje prozy krajów północnych. Przez te lata Wydawnictwo Poznańskie zgromadziło wokół siebie liczną grupę tłumaczy, zmieniła się też na korzyść szata graficzna. „Seria dzieł pisarzy skandynawskich" jest przykładem, ile można zrobić dzięki rozsądnej i atrakcyjnej inicjatywie wydawcy.

Jedną z najnowszych pozycji „Serii" jest powieść Sigurda Hoela „Zaklęty krąg".

Akcja powieści dzieje się na wsi norweskiej na początku XIX stulecia. Nie jest to jednak typowa powieść historyczna, aczkolwiek znajdziemy tu z rozmachem nakreślone warunki obyczajowe i społeczne tamtego okresu. Losy głównego bohatera Haavarda Gjermundsena posłużyły autorowi jako tło do rozważań o moralności, o psychice człowieka, o jego nieuchronnym losie, któremu nie może się przeciwstawić. Pesymistyczna jest wymowa „Zaklętego kręgu" — postępowanie człowieka jest zdeterminowane przez warunki, okoliczności, często przez przypadek. Zaklęty krąg jest nie do przebycia, nie można walczyć z przeznaczeniem, nie można być innym niż ci, wśród których człowiek żyje.

Sigurd Hoel — „Zaklęty krąg", przekład Beaty Hlasko, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań — 1973, str. 360, cena: 34 zł.

PROZA PERUWIAŃSKA

José Maria Arguedas, współczesny pisarz peruwiański zmarły w 1969 roku, był wykładowcą uniwersyteckim w Limie, a przez szereg lat zajmował wysokie stanowiska państwowe. Na swoim koncie poza tomami opowiadań i powieści ma także wiele publikacji naukowych z zakresu etnologii. Jego twórczość literacka wyróżniona została wieloma nagrodami, między innymi także nagrodą państwową.

José Maria Arguedas spędził swoje dzieciństwo wśród Indian Keczua. Ten fakt znalazł odbicie w jego prozie. „Głębokie rzeki" to powieść, której bohater, podobnie jak autor, wychowywał się wśród Indian. Ernesto, kilkunastoletni chłopak, zagubiony w świecie, w którym ostro rysują się konflikty między białymi i Indianami, nie umie przystosować się do warunków, w jakich przyszło mu żyć. Internat w Abancay jest faktycznym miejscem jego pobytu, ale chłopak nie odczuwa żadnej więzi z białymi rówieśnikami. Ucieka więc w marzeniach do czasów, kiedy był wśród Indian, żyje tylko przeszłością. Jedyny bliski kontakt ze światem zewnętrznym to kontakt z przyrodą, którą Ernesto jest zafascynowany.

Książka ukazała się w serii „Współczesna proza światowa", w tłumaczeniu Heleny Czajki.

B. M.

José Maria Arguedas — „Głębokie rzeki", PIW, Warszawa — 1973, str. 250, cena 25.— zł.

BRACIA BRANDYSOWIE KRĘCĄ SIĘ PO PIOTRKOWSKIEJ. ORZESZKOWA LEZIE ZA NAMI. CZY BYLIŚMY KUPĄ IDIOTÓW?

(V)

STEFANIA GRODZIEŃSKA

Łódź miała instytucję odgrywającą wielką rolę w uczniowskim życiu: deptak. W niedzielne południe parzystą stroną Piotrkowskiej od Nawrot do Narutowicza pływały tam i z powrotem tłumy o przeciętnej wieku 16 lat. Nie wiem, może jeszcze w jakimś niewielkim mieście utrzymał się zwyczaj spacerowania jednopłciowymi grupkami, ale wątpię, bo powszechna koedukacyjność wyeliminowała z życia uczniowskiego wszelką grę kokieterii, dozowania znajomości i wzajemnego poczucia egzotyki, które tyle wdzięku dodało naszym pierwszym miłościom.

Nie przypominam sobie, aby w niedzielne południe po Piotrkowskiej chodziły jakieś parki. To by nie było szykowne. Co innego do kina Luna na ulicy Przejazd, na wagary do Helenowa, na wieczorek. Parami, jak najbardziej. Ale nie na niedzielny spacer. Taki spacer, to był rytuał, z namaszczeniem i rozsmakowaniem przestrzegany przez obydwie płcie. Dziewczyny szły po trzy, cztery, w fantazyjnie po niedzielnemu nałożonych beretach. Chłopcy w czapkach uczniowskich z obowiązkowo przez środek przełamanym daszkiem, w grupach nieco większych. Wyjście na ulicę bez szkolnej czapki było nie do pomyślenia. Groziło zawieszeniem, a nawet w razie powtórzenia przestępstwa wylaniem z budy. Żeńskie szkoły miały granatowe berety, każda z innym znaczkiem. Nasze gimnazjum nosiło na przodzie beretu dość duże metalowe kółko z literą szkoły na tle czerwonej skórki.

— Świeże gęsi, opieczętowane — dowcipkowali chłopcy.

Uczniowie mieli najczęściej granatowe rogatywki z daszkiem. Z czerwoną wypustką Gimnazjum Społeczne, z zieloną Handlowe, z białą im. Skorupki, z czerwoną Wiśniewski. Kopernik miał kepi, Niemieckie Gimnazjum czapki okrągłe, szafirowe. Dodam, że w tych czasach po Piotrkowskiej w czapkach z zielonymi wypustkami kręcili się bracia Marian i Kazimierz Brandysowie, a z wypustką białą Aleksander Bardini.

Razem z trzema przyjaciółkami wyruszałyśmy w niedzielę na trasę. Obowiązujący savoir-vivre był jednoznaczny. Na zewnątrz powinnyśmy były sprawiać wrażenie bardzo zajętych rozmową na ciekawy i zabawny temat (zabawny, żeby usprawiedliwić głupie chichoty). A z tematem właściwym nie wolno było się zdradzić.

— Patrz, idą społeczniaki. Tam, za rogiem Traugutta.

Rozpoznanie z daleka wymagało dobrego wzroku i spostrzegawczości, bo o rozglądaniu się nie było mowy. Zwyczaj wymagał wyławiania interesujących obiektów kątem oka, przy pozorach zupełnej obojętności.

— Daj spokój, to smarkacze.

Smarkacze mijając nas kłaniali się grzecznie, ściągając z głów czapki, które potem długo układali na głowach, aby za chwilę znów je ściągnąć na widok innego znajomego stada.

A my w skupieniu prowadziłyśmy ewidencję.

— Henryk już się kłaniał, Stefan też.

— Kazik jeszcze się nie kłaniał.

— Michał przeszedł, ale ukłonił się nie nam, tylko tym od Orzeszkowej.

— A w ogóle, po co Orzeszkowa cały czas lezie za nami. Dziewczynki, oderwijmy się!

Opinia mówiła, że u Orzeszkowej i u nas są najładniejsze dziewczyny. Toteż ukradkiem przypatrywałyśmy się sobie nawzajem z obiektywnym uznaniem i z logicznie towarzyszącą mu subiektywną niechęcią.

Przy rogu Narutowicza zawracałyśmy i rozpoczynałyśmy wędrówkę z powrotem, do rogu Nawrot.

— Ten ukłon Karola był specjalnie dla ciebie, mówię ci.

Miała rację. Tak rozpoczynał się — jak dziś powiedzielibyśmy — podryw.

Biedne dzisiejsze dziewczyny! Czy wy w ogóle znacie ten konglomerat przeczuwania, a jednocześnie niepewności? Te pierwsze podchody, te przypadkowe niby spotkania w drodze ze szkoły?

— Czy pani pozwoli? Poniosę pani teczkę.

Ależ tak, przejście na ty stanowiło już przywilej.

Nie trzeba wyśmiewać tych ceremonii. Młodzież sama je ustanawiała i wcale to głupie nie było. Mogę stwierdzić, że przy wszystkich wspólnych uczniowskich wybrykach, kłótniach, „możesz do mnie nie mówić", „wszystko skończone", przy wszystkich ukradkowych pieszczotach, przy rozstaniach, rozczarowaniach i zdradach, nigdy żaden z naszych chłopców nie obraził żadnej z nas, nie zachował się ordynarnie.

Jeżeli znowu z tego pospiesznego opisu wynika, że byliśmy kupą infantylnych idiotów, to też niesłusznie. Gęsi, głupio chichoczące na Piotrkowskiej w niedzielne południa, miały okazję obcować z ogromem nieszczęścia, nędzy i upokorzeń najbardziej przez los doświadczanych. Każde z naszej paczki było ściślej lub luźniej związane z nielegalnymi organizacjami młodzieżowymi. Na polecenie MOPR wypełnialiśmy najprostsze zadania, jak opieka nad rodzinami więźniów politycznych, dostarczanie im paczek, pomoc przy dzieciach. Na polecenie ZNMS — powielaliśmy, roznosili i rozdawali ulotki, prowadziliśmy tajne prelekcje dla kolegów. Wizyty na ubogich robotniczych Bałutach, przyjaźń z rodzinami, których jedyny żywiciel był w więzieniu, to były nasze uniwersytety. One przygotowały nas do najcięższej próby, do okupacji, która pożarła naszą młodość.

Nie ma obawy, nie zagłębię się we wspomnienia wojenne. Głupio byłoby wyprzytykać wszystko w jednym słowie wstępnym, podczas gdy jeden mój dzień okupacyjny wystarczyłby na słowa wstępne do wszystkich książek, jakie zdążę jeszcze napisać.

SZYNSZYLOWY KOŁNIERZYK

Wracam do chwili, kiedy w wieku lat sześciu znalazłam się w pociągu, mającym za kilka minut uwieźć mnie do obcego kraju, do ludzi, których nie znałam. Odtąd już nigdy nie miałam połączyć się na stałe z moją matką. W chwili kiedy ruszył wagon trzeciej klasy, w którym siedziałam na drewnianej ławce, mając na szyi zawieszony napis w dwóch językach: „Dziewczynka ma wysiąść na takiej a takiej stacji" — zaczęło się moje życie samodzielne. Ale zanim ten wagon ruszył, moja matka, posadziwszy mnie, przykucnęła obok, a ja wtuliłam się w zapach bajkowego szynszylowego futra i obie na zawsze zapamiętałyśmy tę chwilę.

Futro już wtedy było króciutkie, bo dół matka sprzedała na etolę. Pomimo to pasażerowie patrzyli na nią z dezaprobatą. Że taka bogata, a dziecko wysyła samo i do tego najtańszą klasą. Nie wiedzieli, rzecz jasna, że nawet najpotrzebniejsze rzeczy były już wyprzedane, a z tym futrem matka się uparła i powtarzała swemu mężowi, że oboje mogą zdechnąć z głodu, a ona tego futra nie odda i żeby jej mąż zapamiętał, o ile łatwiej jest zabrać dziecku blaszane pudełko, niż jej to futro. Moja matka nie przywiązywała wagi do rzeczy, ale po tej historii z blaszanym pudełkiem coś w niej trzasnęło i pierwszy raz przeciwstawiła się swojemu mężowi. Futro więc było sprzedawane po kawałku i w coraz bardziej zredukowanej postaci przebiegało odtąd przez całe jej życie. Kiedy odprowadzałam moją matkę na dworzec po jej ostatnich odwiedzinach u mnie, latem 1939 roku, na dnie walizki wiozła maleńki szynszylowy kołnierzyk, wyliniały jak stary szczur i używany już tylko jako temat żartów.

A więc wtedy matka zabroniła mi podchodzić do okna i wyszła w tym skróconym futrze z przedziału. Siedziałam sztywno wśród obcych ludzi, trzymając na kolanach koszyczek z jedzeniem na całą dobę, którą spędzić miałam w podróży. Wąchałam ukradkiem swoją rękę, gdzie został cień zapachu mojej matki i wyobrażałam sobie, jak to ona teraz wraca do domu. Nagle usłyszałam pukanie w okno przedziału. Za szybą stała moja dwudziestoczteroletnia matka i widać było jej twarz i kawałek szyi z szynszylowym kołnierzem. Nie podeszłam do okna, żeby matka była spokojna, że trzymam się instrukcji. Matka tam stała i pukała w szybę. Patrzyła na mnie i ja na nią patrzyłam. I znów bardzo było mi jej żal, że jej jest mnie żal. I to właśnie, dokładnie to odczuwałam w stosunku do mojej matki we wszystkich złych chwilach.

Ale moja matka nie byłaby moją matką, gdyby nie zrobiła tego, co wtedy zrobiła. Otóż przycisnęła nos do szyby, rozpłaszczyła go i pokazała mi język. Ja na to zrobiłam małpią minę, z której matka zawsze bardzo się śmiała. I tak robiłyśmy do siebie wszystkie najśmieszniejsze miny, jakie umiałyśmy i wszyscy pasażerowie śmiali się razem z nami aż do chwili, kiedy pociąg ruszył.

I proszę sobie wyobrazić, do tego momentu pamiętam wszystko tak jakby to było wczoraj, widzę tak jakbym miała przed sobą film, a od ruszania pociągu nic. Pojedyncze wspomnienia, pojedyncze obrazki. Jak to wspomnienia z dzieciństwa. Jakoś tak się zrobiło. Może dlatego, że tamto pożegnanie z moją matką było niezwykle ważne. Zapoczątkowało nowy i ostatni okres w naszych stosunkach, które odtąd składać się miały z samych pożegnań. Widywałyśmy się potem nieregularnie i tak krótko, że każde powitanie było już częścią pożegnania.

Chciałabym się usprawiedliwić. Napisałam to słowo wstępne nad program. Ale myślę, że wybaczą mi Czytelnicy wspomnienie o mojej matce, która kochała życie z taką radością, a z takim brakiem wzajemności. A specjalnie ci Czytelnicy, których matki też ginęły samotnie i za młodo.

PABLO PICASSO — grafika

NUTY POLSKIE

Dalszy ciąg ze str. 1

dza mnie w galowym mundurze. Na piersi — ciężkie rzędy orderów. A wśród nich — te, które można rozpoznać niemal na pierwszy rzut oka: Krzyż Grunwaldu, Medal za Warszawę, Medal KRN i inne. Naszą rozmowę rozpoczynamy od końca. Syn Dobruszyna, Leonid, student Politechniki, przyjaźni się ze swoim rówieśnikiem, robotnikiem z Nowej Huty. Prowadzą ożywioną korespondencję, przed rokiem gościli go u siebie, w Wołgogradzie. W tym roku Leonid przyjedzie do Polski. A jego ojciec — mój rozmówca — był w Polsce dwukrotnie. Drugi raz — kilka lat temu. Wtedy właśnie, w czasie przyjęcia wydanego przez Dowództwo Wojska Polskiego, podszedł do niego polski oficer w mundurze pułkownika. Poznali się — po wielu, wielu latach. A pierwszy raz spotkali się — ppłk. Dobruszyn i płk **Henryk Adamowicz** z Warszawy — właśnie tutaj, pod Stalingradem. Pora więc zacząć od tamtych lat.

Przeszedł wiele szczebli kariery wojskowej, służąc w V Dywizji im. Czerwonego Kozactwa i w VI Dywizji im. Parchomienki, w której zakończył wojnę jako komisarz III Gwardyjskiego Korpusu Kawalerii. Pod Stalingradem znalazł się 25 sierpnia 1941 roku i pozostał tam dwieście dni i dwieście nocy. W jego dywizji zresztą służyli nie tylko ludzie radzieccy. Było w niej wielu Bułgarów, Greków, Jugosłowian — i wielu Polaków. Dobruszyn do dziś pamięta **Józefa Dębickiego**, dowódcę pułku, z którym przyjaźnił się i z którym razem walczył. A potem po stalingradzkiej victorii rozpoczął się szlak bojowy, zakończony aż w Berlinie. Po drodze zaś była Białostocczyzna, Warszawa, Prusy Wschodnie, wiele dróg, wiele miejscowości — wsi i miast, które dziś trudno przywołać na pamięć. Tak jak trudno dziś wspomnieć wszystkich, z którymi dzieliło się w okopie niebezpieczeństwo, głód, mróz, tęsknotę za najbliższymi. Dobruszyn rzuca tylko kilka nazwisk — haseł, haseł — symbolów.

Był więc **Chan-Pasza**, strzelec wyborowy, który zastrzelił przeszło 900 faszystów, i któremu ci w ulotkach rzucanych na radziecką stronę wielokrotnie obiecywali najstraszniejszą śmierć. Zginął. Była **Katia Skoromochowa**, siedemnastoletnia stalingradzka dziewczyna — sanitariuszka, która nie mogła sobie wyobrazić, że może nie stanąć w obronie swojego miasta, obracanego w gruzy. Zginęła. Był **Iwan Nikitin**, olbrzymi, flegmatyczny drwal syberyjski, który jeszcze wtedy, kiedy nieprzyjacielskie czołgi były na najbliższym przedpolu — metodycznie skręcał papierosa. Również nie żyje.

Był również Czerkies, **Azamat Mirzew...** Był? Nie, on jest. Nie może mnie przyjąć, jest chory, każdej zimy odnawiają się rany, które odniósł w czasie wojny. Płk Dobruszyn nakręca numer telefonu. Kilka słów wyjaśnienia — i oto trzymam słuchawkę przy uchu. Daleko od ucha, bo Azamat Mirzew krzyczy z prawdziwie wschodnim temperamentem: „Witaj, drogi gościu z Polski...".

A potem krótka, ale jakże znamienna opowieść; wieś Michałów w województwie warszawskim, gdzieś między Siedlcami i Mińskiem Mazowieckim. Czy ją znam?... Czy znam ten czerwony, ceglany dom, zaraz przy wjeździe do wsi?... Wieś zajęły już wojska radzieckie i wtedy nastąpił kontratak czołgów. Właśnie w tym czerwonym, ceglanym domu, w jego piwnicy ukryli się Azamat Mirzew wraz z towarzyszem. A na podwórku przez trzy dni stacjonowali Niemcy. Ukryci w piwnicy żołnierze byli głodni. Przez trzy dni kobieta, mieszkająca w tym domu i jej małe dzieci, z narażeniem życia podrzucali ukradkiem do piwnicy chleb, podawali wodę. Okienko piwnicy wychodziło na podwórze. Trzeba znaleźć ten dom, tę kobietę, odnaleźć jej nazwisko!...

Wołgograd — POMNIK POLEGŁYCH KOMSOMOLCÓW. Fot: Autor

Trzeba, na pewno tak. Ile jeszcze trzeba odnaleźć takich ludzi — z tej i tamtej strony? Ile polskich nut zadźwięczy jeszcze raz, po latach, w zaśnieżonym, marcowym Wołgogradzie?...

3.

„Drodzy mieszkańcy Łodzi, nasi wierni przyjaciele! z całego serca pozdrawiam Was w dniach nadchodzącego wielkiego święta, 550-lecia miasta Łodzi i życzę Wam wielkich sukcesów w waszej pracy i szczęścia w życiu osobistym. Jestem bardzo szczęśliwy, że udało się nam w dniach wojny ocalić Łódź od zniszczeń. Nie chcieliśmy, aby waszym dzieciom zdarzyło się to, co zdarzyło się dzieciom stalingradzkim; po rozgromieniu faszystowskich wojsk nie mogły one wrócić do swoich domów, musiały mieszkać w lepiankach, które budowaliśmy w czasie bitwy o Stalingrad. Jest to zasługą naszego dowódcy 62 Gwardyjskiej Armii, obecnie marszałka Związku Radzieckiego, Wasilija Iwanowicza Czujkowa. My — wypełniliśmy tylko nasz żołnierski obowiązek.

Serdecznie Wasz Aleksander Akimow 12 marca 1973 roku, Wołgograd".

Te proste słowa napisał w moim podręcznym notatniku starszy, skromny, serdeczny człowiek. Widziałem łzy w jego oczach, kiedy wspomniał czasy dalekie, a przecież ciągle wracające, wywołujące prawdziwe wzruszenie.

Aleksander Iwanowicz Akimow, z zawodu agronom, zakochany w ziemi, przez jakiś czas przewodniczący Rady Miejskiej Stalingradu, został powołany do wojska w październiku 1940 roku. Był dowódcą kompanii, batalionu, pułku, naczelnikiem oddziału sztabu armii. Podpułkownik gwardii. Pierwszy komendant miasta Łodzi. Był tym komendantem tylko trzy dni — 19, 20 i 21 stycznia 1945 roku. Ale przecież były to dni najtrudniejsze. I to, że mieszkańcy naszego miasta mogli mieszkać w swoich domach, a robotnicy wrócić do swoich zakładów pracy — jest niewątpliwie ogromną zasługą tego skromnego, prostego człowieka.

Sześćdziesiąta druga Armia, ta, która wraz z 65 zamykała kocioł pod Stalingradem i rozbijała faszystowskie wojska — poszła po zwycięstwie dalej, na Zachód. I to ona właśnie wyswobodziła pierwszy skrawek polskiej ziemi — Chełm, potem Lublin. W jej szeregach walczył Aleksander Akimow. A dziś, w moim pokoju hotelowym, znajdującym się w tym domu, z którego piwnicy wyprowadzono do niewoli feldmarszałka von Paulusa, opowiada mi o długich szeregach żołnierzy radzieckich, idących do Majdanka, na drugi dzień po wyzwoleniu tego obozu śmierci. Mówił mi o tym, co widział na twarzach żołnierzy, patrzących na to straszne dzieło. A potem cały szlak. Wypowiada znajome nam wszystkim nazwy po polsku, nie przekręcając słów, prawidłowo. Forsowanie Pilicy (gdzie był ranny) Magnuszewski Przyczółek, Warszawa, Radom, Poznań, forsowanie Odry. I Berlin. A Łódź? Jak to było z Łodzią?

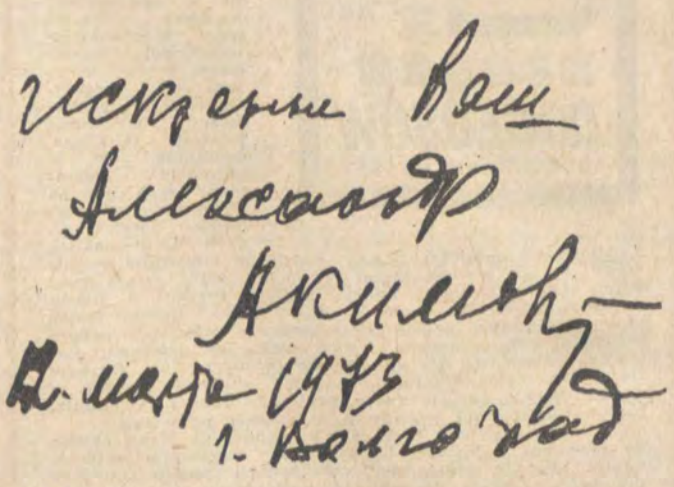

Aleksander Akimow jeszcze raz podkreśla, że to nie on, wszystko jest zasługą marszałka Czujkowa — wówczas generała-pułkownika. Przed uderzeniem na Łódź wezwał on na naradę swoich oficerów. Pokazał im fotografię zburzonej Warszawy. Krzyczał — widzicie? — to jest Warszawa. Pamiętacie Stalingrad? Czy chcecie, aby Łódź była taka sama? Potem zostało ich w sztabie tylko kilku. Między nimi ppłk. **Kuźniecow**, który miał poprowadzić pierwszy oddział zwiadu i właśnie ppłk. Akimow, którego Czujkow mianował komendantem wojennym miasta. Akimow protestował, bał się odpowiedzialności, wiadomo było, że miasto może być w swych kluczowych punktach zaminowane, jego potencjał gospodarczy mógł ulec zniszczeniu. Tłumaczył, że nie dysponuje planem kanałów kanalizacyjnych, wodociągów, sieci świetlnej — to znaczy tych miejsc, gdzie mogą być miny, że ma tylko prowizoryczny plan miasta. O, właśnie — powiedział gen. Czujkow — widzę, że się na tym znacie. Będziecie komendantem.

O reszcie Aleksander Akimow nie mówi. Wspomina tylko o nieznajomym, starszym mężczyźnie, który już na drugi dzień dostarczył do radzieckiej komendantury ten upragniony dokładny plan i o tym, że oddał władzę w ręce polskie. Nie pamięta już ulic, nazw, kierunków. Czy nie powinien sobie tego przypomnieć? Zbliżają się ważne daty, będziemy świętować kolejną rocznicę wyzwolenia naszego miasta, potem wielki jubileusz Łodzi. Myślę, **że wśród najbardziej honorowych gości nie może zabraknąć Aleksandra Akimowa.**

4.

Nie, ja nie znam wszystkich miasteczek, wszystkich wsi, wszystkich domów w Polsce, do których wracają wspomnieniami żołnierze — weterani. I myślę, że gdybym nawet poznał te, o których mówili, to spotkam potem następnych, mówiących o innych miastach i wsiach. Dźwięczała mi ta polska nuta przez cały czas mojej długiej podróży po wielu miastach. I temu właśnie chciałem dać świadectwo.

MAREK WAWRZKIEWICZ

BERLIN 1945

(III)

Dalszy ciąg ze str. 1

Tutaj, na punkcie obserwacyjnym armii, nacierającej i prowadzącej już walkę w centrum miasta, takie pytanie wydaje się śmieszne. Ale nie będzie tak śmieszne, jeśli pojmie się intrygę uknutą teraz przez sztab hitlerowski.

— A więc Himmler jest zdrajcą? — pyta Czujkow.

Krebs: Tak. Zgodnie z testamentem Hitlera Himmler został usunięty z partii. Himmler przebywa poza Berlinem, jest w Meklemburgii.

Czujkow: Czy pan znał propozycje Himmlera: pełna kapitulacja wobec Stanów Zjednoczonych i Anglii?

Krebs zaczyna, jak się to mówi, wrzeć. Wyobrażam sobie tego generała, wyładowującego złość na podkomendnych: jak on, zapewne, beształ wszystkich sztabowców, tupał nogami. Poczerwieniał, z ust wyrywają mu się kulawe, rosyjskie słowa. Wyobrażam sobie, jak pastwił się nad naszymi, którzy dostali się do niewoli. Wyobrażam sobie, jak przypochlebiał się i płaszczył przed Hitlerem, przed wszechwładnym Himmlerem.

A teraz zieje nienawiścią do kata, od którego niewiele się różni, prawie żali się na niego — Himmlera wysłano z Berlina po pomoc, żeby przyszedł z ratunkiem, a on chciał zawrzeć pokój bez wiedzy fuehrera. Krebs żali się na Himmlera. Oj, jaki ten Himmler niedobry! Co robi Himmler, wiadomo, ale jakiego zadania próbuje teraz Krebs? Czy nie chce nakłonić radzieckiego dowództwa do zawarcia separatystycznego pokoju, a pośrednio do oszukania sojuszników. Składając nam „wizytę" być może sumiennie realizuje część hitlerowskiego planu. Przeciwstawienie nas sprzymierzonym było przecież najskrytszym marzeniem Hitlera. Jeśli Himmler pośpieszy się na Zachodzie, a Krebs w Berlinie, zakończenie wojny grozi zrodzeniem się nowych komplikacji i trudno przewidzieć, co jeszcze może się zdarzyć. Hitler starał się zderzyć Anglię i Amerykę ze Związkiem Radzieckim jeszcze przed wybuchem II wojny światowej. I przed śmiercią znowu zabrał się do tego dzieła. Ale Krebs natknął się z naszej strony na nieprzeniknioną ścianę. Nieustannie słyszy jedno i to samo pytanie, jedną i tę samą odpowiedź: pełna i bezwarunkowa kapitulacja przed koalicją antyhitlerowską — ZSRR, USA i Anglią. Żadnych tricków, żadnych kompromisów być nie może.

1 maja 1945 roku dowództwo jednej z radzieckich armii w Berlinie wciela w życie postanowienie jałtańskiej konferencji Wielkiej Trójki, wciela jasno i po wojskowemu precyzyjnie.

Gdyby Krebs wyszedł ze swoją białą flagą na ulicę Berlina i dostał się do sztabu innej armii, szturmującej miasto, usłyszałby to samo pytanie i takąż odpowiedź.

Krebs czyni wysiłki, aby postawić na swoim. Zaciska pięści, abyśmy nie widzieli, jak trzęsą się jego palce. Przechodzi na niemiecki, gdyż ze zdenerwowania plączą mu się rosyjskie słowa.

Krebs: Raz jeszcze proszę o rozejm. W razie pełnej kapitulacji nasza grupa (nazywa teraz już tych, co znajdują się w podziemiach cesarskiej kancelarii nie rządem, tylko grupą) nie będzie już mogła reprezentować narodu niemieckiego. Kiedy skapitulują całe Niemcy, skapituluje także Berlin. Ale na razie nie może tego zrobić. Nie mamy łączności z innymi częściami Niemiec. Obawiam się, że wbrew woli fuehrera, będzie coś robić inny rząd. A możliwe, już czegoś dokonał.

Czujkow: Sojusznicy nie zrobią bez nas jakiegokolwiek kroku i my też.

To zdanie nie podoba się Hansowi Krebsowi. Kręci łysą głową i znowu próbuje mówić po rosyjsku: „Himmler chciał zawrzeć separatystyczny pokój z nadzieją rozłamu sojuszników". Nie jest to może poprawne gramatycznie, ale precyzyjne, jeśli idzie o sens.

Krebs ciągnie: „Nasz były wódz chciał nawiązać kontakt ze Związkiem Radzieckim. Wyjść z tego położenia".

A więc teraz wszystko jasne. Można nie trudzić się podejrzeniami. Ich projekt „rozłamu" został przemyślany, obliczony jako operacja posiadająca flankę wschodnią i zachodnią. W tym pokoju z zaciemnionym oknem znajdujemy się, można by powiedzieć, na wschodniej flance. Oto teraz — tak się wydaje Krebsowi — Rosja-

Konfrontacja

Dalszy ciąg ze str. 1

filie we wsiach i miasteczkach całego powiatu. I co najciekawsze — podczas okupacyjnej działalności Łupińskiego naukę na szczeblu gimnazjalnym pobiera trzy razy więcej młodzieży niż przed wojną! Lecz nie samo osiągnięcie, a postawa Łupińskiego wydała mi się, jak na owe czasy, szczytem odwagi.

— Myślę, że wystawił mu pan już pomnik.

— Nie. To nie wystarczyło.

— Dlaczego?

— Pisze do mnie rozpaczliwe listy z prośbami o pomoc. Widzi pan — on nie potrafił szybko przystosować się do nowych warunków, w ciągu dwóch tygodni po wyzwoleniu zszedł niejako w cień. Wprawdzie usiłował jeszcze stworzyć własne gimnazjum, ale odsunięto go, przeniósł się do Łodzi, potem osiadł w Ozorkowie, gdzie pędzi obecnie żywot emeryta. Boleje, że mimo wielu zapewnień — zapomniano o nim, że nikt mu nie podziękował...

Chróścielewski poinformował mnie jeszcze, że Jan Łupiński mieszka w Domu Nauczyciela przy jednej z głównych ulic Ozorkowa.

Pojechałem, sprawdziłem.

Ulica Mickiewicza okazała się cichym zaułkiem, dom oznaczony numerem 1 był wysoki, zbudowany z czerwonej cegły, jakby wymarły. Kiedy odczytałem napis na tablicy, sądziłem, że ktoś ze mnie zażartował.

Niestety, adres się zgadzał, i to było najbardziej szokujące: Łupiński mieszka w **Państwowym Domu Specjalnym dla Dorosłych...**

Przeszedłem długi mroczny korytarz. Pod ścianami stojący i siedzący na krzesłach starzy ludzie. Niedołężni, przygaszeni, o pustych, smutnych twarzach i błędnym, nieruchomym spojrzeniu. Jak gorzko podczas takiej konfrontacji brzmią słowa: **„jesień życia"...**

Otworzyłem drzwi, z pomieszczenia wyszły, zapraszając mnie do środka, dwie stare kobiety. Na pierwszy rzut oka mały, kiszkowaty pokój, gdzie najwięcej miejsca zajmują dwa łóżka, przykryte żółtymi kapami, sprawia wrażenie przytulności. Wszędzie pełno pamiątek, różnych drobiazgów, starych fotografii, jeszcze nie spożyte pisanki wielkanocne.

Pozory. Bo tylko uwijające się za oknem ptaki tuszują nieco panujący tu nastrój samotnej starości...

Jaki jest bohater powieści?

Ma siwe wąsy i długie, prawie białe włosy, gdy wstaje, obszerna podomka w paski podkreśla starczą chudość; słabo słyszy, ale trzyma się prosto. Jaśnieją jego brązowe oczy, cieszy się, kiedy mówię od kogo przychodzę.

— Aaa, Tadzio, no proszę — zaciera białe, pomarszczone dłonie — **jakże on się miewa? Mój uczeń i kolega, bośmy też razem pracowali! A jakże, książkę czytałem, i ksiądz Sikora czytał, i magister Jasień z Mińska...**

Ma 83 lata i trudno mu ze szczegółami odtworzyć historię własnego życia. Ale czas okupacji pamięta. Pewnie stąd, że był to okres jego największych osiągnięć, a może przez gorycz, że inni o tym zapomnieli?...

— Był w Mińsku Mazowieckim pan Głowacki, który pracował w kolejnictwie i, pamiętam, uczyłem jego córkę Bożenkę, ona pierwsza przyszła do mnie, gdy Niemcy zabronili nauki w polskiej szkole. Głowacki dał lokal i tak powstał pierwszy pięcioosobowy komplet, a po roku było ich, zaraz — waha się — ze czterdzieści tych kompletów, większych, razem chyba z 400 uczniów, a w powiecie też tyle... I komisję mieliśmy specjalną, zbieraliśmy przez skarbnika składki i wspomagaliśmy się jakoś...

— Pan się nie bał?

— Nie. Nie było czasu się bać...

— A dlaczego pan to wszystko robił?

— No, to jakoś tak... sam z siebie.. Czułem ten obowiązek, żeby młodym nową, światłą myśl podawać... Bo wie pan — ożywia się — **Niemcy chcieli zniszczyć tych młodych, oni tendencyjnie wtykali im wódkę do ręki, ale ta młodzież była idealna, nie nastręczała trudności, żadnej zdrady nie było...**

Trzęsie się siwa głowa, profesor płacze ze wzruszenia.

— A co potem, po wojnie? — przerywam, kiedy się nieco uspokaja.

— Rosyjskiego uczyłem wtedy, to był osiemnasty rok...

Plącze się myśl w skołatanej głowie, Łupiński nie odróżnia okresów historycznych.

— To inna wojna, aha... Ale ja nie pamiętam, nie wiem... Wszyscy mnie znają — krzyczy w rozpaczy — **o, tu na ścianie wisi mój portret...**

Zmęczyła go ta rozmowa, oddycha ciężko, taki świst w płucach... Ale stara mi się jeszcze pomóc, grzebie w szufladkach, wyciąga dokumenty.

Wchodzi żona, Helena, drobna, siwowłosa kobieta. Nachyla się, szepcze mi do ucha:

— Pomogę panu. Z mężem już tak od czasu, kiedy Niemcy zburzyli w Mińsku nową szkołę, w którą Jan sam włożył dużo pieniędzy. Cierpi na takie chwilowe krachy, miewa zaniki pamięci.

Wiele dokumentów zaginęło, ale i z pozostałych można zrekonstruować obraz życia i pracy profesora. A więc zaświadczenie, że od 1. VIII. 1935 r. był dyrektorem Gimnazjum i Liceum Towarzystwa Szkół Średnich w Mińsku Mazowieckim, a w czasie wojny, do 31. VII. 1945 r. — dyrektorem kompletów gimnazjalnych w Borowku.

Jest również pismo potwierdzające, że w latach 1945—46 prowadził we wsi Tansbor założone przez siebie gimnazjum koedukacyjne. Dlaczego stamtąd odszedł, oboje nie potrafią, albo nie chcą wytłumaczyć.

Od 1946 roku „budował od nowa". Został dyrektorem gimnazjum w Ozorkowie. Gnębiło go, że gimnazjum zamieniono na szkołę tkacką, a potem zasadniczą metalową. Pozostał jednak wciąż czynny, żywotny; pełnił funkcję pełnomocnika Oddziału PCK, był wykładowcą szkolenia partyjnego.

W 1954 roku „rozliczono" go z 36 lat pracy w zawodzie nauczycielskim, do 61 roku pracował jeszcze dorywczo, wykładając przyrodę i geografię.

Powiedział, że zapomniano o nim. Niezupełnie. W 1952 r. otrzymał Złoty Krzyż Zasługi, w trzy lata później — Medal X-lecia. Pozostało osiemnaście lat pustki, milczenia. Tylko pożółkłe, chronione pieczołowicie dokumenty.

Pochylony nad papierami, jakby nieobecny, powiedział w pewnej chwili:

— Helenko, może ty też kilka słów o sobie...

Była nauczycielką tajnego nauczania i łączniczką AK, po wojnie komendantką oddziałów PW, odznaczona Medalem Zwycięstwa i Wolności.

— Nawet w tym domu jeszcze pracuję! Jako działacz kulturalno-oświatowy. Trudno jest, ludzie zupełnie niedołężni, nie potrafiący zachować prostych zasad higieny. Nasz syn jest lekarzem, czy my powinniśmy tu mieszkać?

Zachorowali oboje i przebywali w szpitalu. Po jego opuszczeniu w 1965 roku, miast do swego czteroizbowego mieszkania w Ozorkowie, trafili „drogą eksmisji" prosto do Domu Specjalnego. Za mieszkanie płacili jeszcze pół roku czynsz, który im w końcu zwrócono.

Chcieli się stąd wydostać, syn otrzymał mieszkanie w blokach, zostawił pokój z kuchnią. Mogliby tam zamieszkać, blisko niego, ale wytłumaczono im, że pobierają zbyt wysokie renty, żeby za darmo dostać ten pokój z kuchnią. Jak mieli jednak odłożyć pieniądze na mieszkanie, skoro niemal cała renta idzie na koszty utrzymania w Domu Specjalnym?...

Pragnęli mnie jeszcze zatrzymać, przedłużali pożegnanie.

— Proszę pozdrowić naszego Tadeusza — prosił Łupiński. **— Niech on nas kiedyś odwiedzi...**

Powiedziałem, że przyjedzie na pewno.

Wyszedłem. Za drzwiami, w pełnym zaduchu korytarzu te smutne, puste twarze, w niektórych cień ożywienia, nadziei... Ale ich nikt dzisiaj nie odwiedzi...

RYSZARD BINKOWSKI

„Alicja siedziała na brzegu obok siostry i była już bardzo znużona tym, że zupełnie nie ma co robić: raz czy dwa razy zajrzała do książki czytanej przez siostrę, ale nie było tam ani ilustracji, ani konwersacji. A jaki może być pożytek z książki — pomyślała Alicja — w której nie ma ani ilustracji, ani konwersacji?"

* * *

Pamiętacie to, prawda? — A potem zaczęła się ta awantura z Białym Królikiem o różowych oczach, który nosi zegarek w kieszeni kamizelki, i była Ogonopowieść Myszki i smutna historia Żółwiciela i wiele innych na pozór jeno dziwnych rzeczy...

Legenda żeglarska opowiada niezliczone historie o Latającym Holendrze — który wynurza się na pełnych żaglach z gwiezdnej poświaty i ginie w srebrzystej mgle, przemierzając morza i oceany wedle własnych, niepojętych dla innych tras, dążąc do celów niezbadanych i tajemniczych. Marynarze, którzy spotkali ów okręt-widmo, opowiadają z zabobonnym lękiem, iż słychać z jego pokładu komendy kapitana, głosy załogi, a czasem gromkie śpiewy pijących. Historia, a raczej historie tego żaglowca — bo jest ich wiele — są ze sobą sprzeczne i nie będziemy ich tu opowiadać. Ale pewne jest jedno — Latający Holender nie zawija nigdy do żadnego portu, jest w wiecznej podróży i z zawsze postawionymi wszystkimi żaglami dokądś śpieszy.

Są też ekspresy-widma, ekspresy przelatujące nocą przez puste perony, nie zatrzymujące się na żadnych stacjach, lekceważące zamknięte semafory i rozkłady jazdy. Znają je doskonale kolejarze. Może jest ich kilka, a może jest tylko jeden — tego nikt nie wie na pewno — może też się zdarzyć, że jest jeden ekspres euroazjatycki, drugi amerykański, a trzeci australijski. Na pewno transsyberyjska ma swój nierzeczywisty ekspres. Nie przypuszczam natomiast, żeby istniał taki ekspres afrykański. Może jest jeszcze inaczej, i tych ekspresów jest o wiele więcej i że przypisane są niektórym tylko stacjom i przelatują przez nie w oszalałym stukocie kół, siejąc zamęt w umysłach i tęsknotę przedziwną budząc w sercach. Nikt nie wie jak jest naprawdę. Ja wiem natomiast, że przez dworzec w Koluszkach przejeżdża czasem błękitny ekspres-widmo. W oświetlonych oknach widać smutne twarze pasażerów i odnoszę wrażenie — a widziałem go kilka razy — że w Koluszkach rytm jego biegu zmienia się, staje się powolniejszy, jakby hamował lekko, niezdecydowany, jakby chciał się zatrzymać na tej właśnie a nie innej stacji. Jakby z tymi właśnie peronami coś go — odległego bardzo — łączyło. Lecz jakaś tajemna siła każe mu gnać dalej, wciąż dalej. Dokąd? — kto to może wiedzieć, nikt chyba. Może kiedyś zdarzy się, że ekspres ten zatrzyma się na moment i wsiądę do niego i pojadę w swoją ostatnią podróż, podróż bez końca, do niewiadomej stacji, której nie ma na żadnej mapie, w żadnym rozkładzie jazdy, i będzie to moja najdłuższa podróż, bo nie skończy się nigdy, i będzie to ostatnia moja podróż, która będzie trwać i trwać, aż oszalały stukot kół przejdzie w czarny jazz i wszystko wokół będzie jednym tylko wielkim, czarnym Alleluja pośród czarnej nocy, która nie ma kresu.

* * *

Jazda pociągiem przypomina dobrą książkę — z ilustracjami i konwersacją. W prostokątach okien przesuwają się nowe i coraz nowe pejzaże, a o konwersację nietrudno, bo zawsze znajdzie się wśród współpasażerów ktoś chętny do rozmowy. I zawsze się człowiek czegoś nowego dowie, a najczęściej dowie się czegoś o życiu. Tak było i tym razem. Przygodny znajomy opowiedział mi historię, która przydarzyła się jego przyjacielowi...

Wszystko zaczęło się przed piętnastu laty. Przyjaciel, będziemy go nazywali Karolem, wstąpił w związki małżeńskie z bardzo przystojną panną imieniem, powiedzmy sobie, Joanna. Szczęście było pełne, bowiem związek był wypadkową gorącej i czystej miłości. Było pełne, lecz niestety, jak to w życiu bywa — krótkie. Joanna po roku wyjechała za granicę odwiedzić rodzinę i napisała stamtąd do męża, że postanowiła zostać i że to co było między nimi, było zwykłą pomyłką. Małżonek nie był zachwycony takim obrotem sprawy i temu się nie ma co dziwić, tym bardziej, że po pierwsze darzył szczerym uczuciem swą małżonkę, a po wtóre, że zabrała ona, wyjeżdżając, sporą ilość gotówki z domu, bez uprzedniego z nim uzgodnienia. Niewiele jednak mógł poradzić, wobec okoliczności, które zaistniały, napisał więc tylko list do swojej żony, dając jej do zrozumienia, że uważa takie postępowanie za co najmniej brzydkie, ale że gdyby chciała wrócić, to on jest gotów jej wszystko wybaczyć. Miłość ci wszystko wybaczy, chociaż jesteś świnia — pisał do niej. Żona na list ten nie odpowiedziała.

Karol jakoś nie kwapił się do powtórnego ożenku, więc o rozwód nie występował — może zresztą miał ciągle nadzieję. Żona nie dawała znaku życia — jej widocznie rozwód też nie był potrzebny. Spotkali się po piętnastu latach, w niecodziennych okolicznościach. Joanna na ławie oskarżonych odpowiadała za siedmiokrotną bigamię, Karol przy okazji poznał sześciu panów, którzy, podobnie jak on, mieli w stosunku do niej te same prawa i okazali się bardzo sympatycznymi i... majętnymi ludźmi. Wszyscy zostali nabici w butelkę według identycznego schematu. Sprawa się rypła z ostatnim mężem, Bogumiłem. Bogumił często wyjeżdżał za granicę w sprawach służbowych, czego Joanna, która popadła w niejaką rutynę, nie wzięła pod uwagę. Kiedy więc otrzymał on list identyczny z tym, jaki onegdaj dostał Karol i pięciu pozostałych panów, wykorzystał swój najbliższy wyjazd za granicę, aby wpaść do jej rodziny, gdzie miała przebywać i przeprowadzić tak zwaną zasadniczą rozmowę. Rodzinę odnalazł pod wiadomym sobie adresem, ale Joanny nie było. Wróciła do kraju po miesięcznym pobycie. Po powrocie, Bogumił zaniepokojony, opowiedział wszystko na milicji. No i po kilku

Dalszy ciąg na str. 9

---

nie skuszą się na jego propozycję, zgodzą na separatystyczny rozejm i cel zostanie osiągnięty.

Krebs: Gdy tylko nastąpi rozejm, ja i Bormann pojedziemy i porozmawiamy z narodem.

Czujkow: To znaczy, że rząd został stworzony i chcecie mieć możliwość działania na terytorium Niemiec, aby potem przedłużyć wojnę?

Krebs: Aby potem prowadzić rokowania.

Widzę, że Czujkowowi trudno jest uporać się ze zbierającą w nim pasją, podobnie jak Krebsowi trudno jest opanować lęk i drżenie. Czyż ten generał artylerii nie pojmuje, jak bezmyślne i beznadziejne są jego próby uratowania czegoś, co już zniknęło, rozdeptane i skazane przez historię? Ale dowódca armii tylko wzrusza ramionami i grzecznie zapytuje:

Czujkow: Gdzie obecnie znajduje się trup Hitlera?

Krebs: Zgodnie z testamentem został spalony w Berlinie w trzy godziny po śmierci. Spalony w leju po pocisku.

Czujkow: Pańskim zadaniem jest wypełnianie woli Hitlera i chce pan, żebyśmy my w tym wam pomagali? Nie rozumiem tego. Armaty strzelają, a pan mówi o nowym rządzie. (Cały swój sarkazm włożył Czujkow w te pytania. Widzę, jak trudno mu się opanować).

Krebs: Chciałbym, jak można najszybciej, doprowadzić do tego, żebyśmy stworzyli jakikolwiek nowy rząd.

Czujkow: Nasi pójdą teraz do ataku i nadzieją na bagnety wasz rząd — tak może się zdarzyć.

Wreszcie, jak się zdaje, dogadali się.

Dowiedzieliśmy się, że zaraz przybędzie zastępca dowodzącego frontem, generał armii, **Wasyl Sokołowski.** W rozmowach następuje przerwa i Czujkow proponuje Niemcom zjedzenie śniadania. Mnie i **Wsiewołodowi Wiszniewskiemu** nakazano zabawiać „gości". W sąsiednim pokoju jest już nakryty stół, przyprowadzono tam Krebsa i jego asystę. Gdy szliśmy korytarzem, niemiecki żołnierz, siedzący na taborecie, ocknął się z drzemki, zerwał i podsunął swemu generałowi kanapkę z kiełbasą. Krebs przeszedł obok, nie zwracając na niego uwagi. Siedliśmy przy stole.

Było to bardzo dziwne, proszę wybaczyć, jedyne w swoim rodzaju śniadanie. Kłopotliwe milczenie przerwał Krebs:

— Pierwszy maja jest wielkim świętem obu naszych krajów.

Odpowiedziałem, że w Moskwie jest dziś rzeczywiście wielkie święto, czego o Berlinie nie można, niestety, powiedzieć.

Wiszniewski zapytał Krebsa, co to za szramę ma na policzku.

Byłem ranny podczas angielskiego nalotu na nasz sztab generalny.

Nie czekaliśmy długo, aby dowiedzieć się, gdzie Krebs nauczył się rosyjskiego. Okazało się, że przed wojną był zastępcą niemieckiego attache w Moskwie. 1 maja 1941 roku był obecny na paradzie i pochodzie na Placu Czerwonym. Później, przed samą wojną wrócił do Berlina i znów przyszedł do Rosji, już na czele armii. Był pod Rżewem, pod Smoleńskiem.

W 1941 roku nie byłem pod Smoleńskiem tylko bardziej na południe. Lecz ze stereoskopową wyrazistością ujrzałem, jak wychodzą z okrążenia nasi towarzysze — ochotnicy i rekruci, jak giną w bagnach, przysypanych wczesnym pierwszym śniegiem. A ten oto generał, z którym jemy w Berlinie śniadanie, siedzi w rosyjskiej chacie z silnie napalonym piecem. Wchodzą sztabowi oficerowie, trzaskają obcasami, meldują o okrążonych radzieckich dywizjach i korpusach, o tym, że w wioskach znajdują się partyzanci i należałoby wioski te spalić. Samo przez się zrozumiałe. Generał nastawiony jest wielkodusznie, zapewnia swoich oficerów, że niedługo Moskwa, to sprawa dni... Moskwę zna, właśnie niedawno stamtąd...

Zdarzało mi się rozmawiać z wziętymi do niewoli niemieckimi generałami po Stalingradzie i po zakończeniu Bitwy Białoruskiej. Ale ten nie jest jeńcem, przybył tu na rokowania i polecono mi tylko usiąść z nim przy stole i zjeść śniadanie.

Towarzyszący Krebsowi pułkownik przyjmuje wszystko obojętnie. W skupieniu ogląda pokój, zauważa niewielką rysę na suficie. Pyta, czy dom jest cały. — Przyjechali nocą, nie mógł się rozejrzeć. Dziwne zainteresowanie, lecz pułkownik mówi, że ma pewne związki z tym domem. Nie zapisałem dokładnie i teraz nie pamiętam, czy ten dom był jego własnością, czy też pułkownik był członkiem jakiegoś towarzystwa akcyjnego, które dom budowało, czy wreszcie to jego mieszkanie. Wiszniewskiego rozśmieszył tak nieoczekiwany zbieg okoliczności. Szepce do mnie: „Taki wypadek jest nieprzydatny dla literatury, zbyt grubo zawiązany wątek".

W tym czasie dowódca armii, **Wasyl Czujkow,** śpi nakryty burką, na niskim szerokim łóżku, w sąsiednim pokoju. Jego rodzony brat i adiutant, **Fiodor Czujkow,** czuwa nad snem przełożonego. Ale oto podjechał samochód, przybył generał armii, **Wasyl Sokołowski.**

EUGENIUSZ DOŁMATOWSKI

Przełożył: Konrad Frejdlich

Pietnikow

10 maja 1971 roku zmarł w miejscowości Stary Krym na Krymie **Grigorij Nikołajewicz Pietnikow.** Wraz z jego śmiercią odeszła ostatecznie w przeszłość epoka literacka — jedna z najprzedziwniejszych, najdramatyczniejszych i najbardziej heroicznych w dziejach rosyjskiej literatury.

Był ostatnim żyjącym wybitnym uczestnikiem rosyjskiego ruchu futurystycznego, towarzyszem pióra Chlebnikowa, Asiejewa i Majakowskiego. Należał do grona tych twórców, którzy z miejsca i bez przechodzenia „drogi przez mękę" opowiedzieli się po stronie Rewolucji Październikowej. Był autorem najwcześniejszego chronologicznie wiersza, witającego pierwsze bojowe zwycięstwa Rad w Piotrogrodzie (napisał go niemal nazajutrz po salwach „Aurory", kiedy losy działań orężnych bynajmniej jeszcze nie były przesądzone), a podczas rewolucji i w początkach tworzenia się pierwszego państwa socjalistycznego — wybitnie aktywnym działaczem i organizatorem życia kulturalnego na Ukrainie radzieckiej. Był jednym z najbardziej oryginalnych i utalentowanych — choć nie najpopularniejszym — poetów swego kraju. Był przez całe długie życie poetą aktywnym i uparcie wiernym swym principiom artystycznym. Należał do bardzo nielicznego, w skali światowej, poczту tych poetów, którym późny wiek nie stępił pióra i nie przeobraził w swych własnych epigonów — do poetów, których do końca długiego życia cechują ambicje nowatorskie i ambicjom tym dają wyraz twórczy — z powodzeniem. Przywiązanie do rodzimych tradycji literatury rosyjskiej, a także ukraińskiej, nie przeszkadzało mu głęboko interesować się ogólnoeuropejskim życiem literackim, które, znając wiele języków, starał się śledzić na bieżąco i korzystać z jego zdobyczy.

Szczególnie bliska była mu literatura — i nie tylko literatura — naszego kraju. Był autorem wierszy o Polsce, chociaż nie znał jej z autopsji, w tym szeregu wierszy o Łodzi. Był związany z naszym krajem węzłami krwi. I to krwi szczególnie purpurowej. Płynęła w jego żyłach bohaterska krew polskich powstańców 1863 roku.

Rodowód poety

Dziad Grigorija Pietnikowa, Osip Pietnikow, w młodości oficer, był przed wybuchem powstania 1863 r. członkiem wojskowego kółka rewolucyjnego i przyjaźnił się z Jarosławem Dąbrowskim. Matka poety, Anna Ewelina, była z pochodzenia Polką. Jej nazwisko panieńskie brzmiało Ratowska. O ojcu, zmarłym w 1941 r., poeta rzadko wspominał. Ustawicznie pisał o matce, Jej pamięci poświęcił szereg wierszy.

Była kobietą nieprzeciętną, o wybitnej inteligencji i niezależności duchowej. Ukończyła ze złotym medalem gimnazjum i wyłamawszy się spod zwyczajowej konwencji przewidującej dla kobiet ze „sfery" stanowisko „przy mężu", poszła do pracy. Uczyła w gimnazjum, potem pracowała na kolei w tak męskich specjalnościach jak kreślenie i nadzór techniczny w warsztatach kolejowych. Już za władzy radzieckiej, zdobyła kwalifikacje i tytuł inżyniera kolejnictwa. Interesowała się żywo literaturą i sztuką, zwłaszcza malarstwem, które i sama uprawiała, choć raczej w zaciszu domowym. Była miłośniczką polskiej literatury, pielęgnowała w domu polskie tradycje i język.

Wychowała syna w duchu ostrej opozycji wobec caratu. Była aktywną socjaldemokratką i oddała znaczne usługi rewolucji 1905 r. na terenie Charkowa. Owo czynne zaangażowanie polityczne było w jej odczuciu — co podkreślała — świadomym aktem kontynuowania własnej tradycji rodzinnej.

Matka Anny Eweliny, babka poety, była uczestniczką powstania styczniowego. Na imię miała Paulina, z domu Krajewska. Była siostrą Rafała Krajewskiego, z zawodu architekta. Od chwili, gdy pada to imię i nazwisko, przekazy rodzinne Grigorija Pietnikowa przestają już służyć jako główne źródło informacji. Nazwisko i imię brata Pauliny, a dziada wujecznego poety, wymienia każdy podręcznik historii Polski.

Rafał Krajewski (1834—1864) młody, wybijający się architekt, projektant szeregu gmachów w Warszawie, m. in. renowacji i przebudowy ratusza na Placu Teatralnym (zrealizowanej już po męczeńskiej śmierci autora projektu), publicysta, poeta, członek cyganerii warszawskiej i uczestnik biesiad literackich u Deotymy, wszedł na arenę półjawnego, i przede wszystkim tajnego życia politycznego w Królestwie po wypadkach w Akademii Sztuk Pięknych i pamiętnym nabożeństwie za trzech wieszczów. Był jednym z najaktywniejszych członków grupy Jurgensa i członkiem Kapituły — pierwszego komitetu koordynacyjnego działań patriotycznych. Współorganizuje Towarzystwo Naukowej Pomocy. W jesieni 1861 współpracuje z Józefem Kwiatkowskim w przygotowaniu wyborów samorządowych w Królestwie, w 1862 działa w komitetach: technicznym i higienicznym Warszawskiej Rady Miejskiej. Po tragicznej śmierci Bobrowskiego nie przyjął proponowanej mu teki w powstańczym Rządzie Narodowym. W lecie 1863 roku jest głównym współpracownikiem dyrektora Wydziału — Stanisława Łaguny i współautorem Nowej Ustawy Administracyjnej z dnia 6.VIII.1863. Energicznie też wciela ją w życie. Po objęciu dyktatury przez Traugutta zostaje mianowany dyrektorem Wydziału Spraw Wewnętrznych. Powierzonym mu resortem kieruje aż do końca, chociaż powstanie, mimo energii i wysiłku organizacyjnego Traugutta, chyli się ku upadkowi i szereg działaczy kierowniczych opuszcza kraj. Tragicznego dnia 10.III.1864 r. Traugutt oraz czterech dyrektorów wydziałów: Rafał Krajewski, Jan Jeziorański, Józef Toczyński i Roman Zuliński — zostają aresztowani. Dnia 19.VII.1864 sąd wojenny skazuje na śmierć — jak brzmi sentencja wyroku — „ostatnich pięciu" członków Rządu Narodowego". Dnia 5.VIII. tegoż roku Rafał Krajewski z Trauguttem i towarzyszami zawisł na stokach Cytadeli.

Ocalały grypsy Rafała Krajewskiego systematycznie przesyłane z więzienia do jego czterech sióstr: Emilii, Józefiny, Zofii i Pauliny. Wydane zostały w 1875 w Krakowie przez A. Gillera i weszły do kanonu „nieprawomyślnej" lektury pokolenia powstańczego w Królestwie. Przepojone podniosłą egzaltacją patriotyczną i religijną w duchu epoki, pisane bogatą i sprawną polszczyzną, należą do najpiękniejszych, jakie zna polska epistolografia martyrologiczna. Między listy włączył również dwa napisane w więzieniu wiersze. Fragment jednego brzm:

Bracia! My w zbożną
godzinę
Odpuśćmy słabym i
zdrajcom (...)
Z upadłej sprawy ojczyźnie
Zostawmy zasiew
przyszłości,
Gdy krwi nie stało — w
spuściźnie
Oddajmy na siew swe
kości...

Listy te są również przepięknym pomnikiem wzajemnej miłości rodzinnej. Ostatni zaś pisany na cztery godziny przed egzekucją, świadczy o niezwykłym opanowaniu i sile charakteru tego wyjątkowego człowieka i męża stanu.

Babka poety, Paulina, urodzona w Warszawie, była najmłodszą z siedmiorga rodzeństwa Krajewskich. Rafał, który po śmierci ojca stał się głową rodziny, nazywał ją „beniaminkiem" i otaczał szczególną czułością. Paulina była do czasu dramatu narodowego i rodzinnego pogodna i towarzyska. W powstaniu służyła jako kurierka Wydziału Spraw Wewnętrznych i, jak pośrednio wynika z listu Pietnikowa do Sterna napisanego po śmierci Asiejewa, w tajnej poligrafice i kolportażu. W początkach 1864 ciężko zapadła na zdrowiu i Rafał grypsem z Cytadeli nakazuje jej natychmiastowy wyjazd na leczenie do Ciechocinka.

Miejscem deportacji Pauliny była Achtyrka nad Worsklą. Paulina wyszła za mąż za dra Ratowskiego. Urodziła mu czworo dzieci. Najmłodsza Anna Ewelina, w chwili śmierci matki miała trzy lata. Paulina zmarła bardzo młodo, w roku 1872. Pochowano ją na miejscowym cmentarzu. Bezpośrednią przyczyną śmierci tej wątłej, chorującej już od 1864 roku kobiety były sucho-

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

ty. Pośrednią, jak pisze Pietnikow w oparciu o przekaz tradycji rodzinnej, wstrząs wywołany klęską i kaźnią brata, ustawiczny niepokój o los represjonowanych najbliższych (część rodziny zesłana była w głąb Syberii) i tęsknota za krajem.

Paulina do końca życia nie nauczyła się języka rosyjskiego. Prowadziła nieustającą korespondencję z rozproszoną rodziną. Dwa pokolenia Pietnikowów przechowały jako relikwię domową polską książkę do nabożeństwa Pauliny. Między jej kartki wetknięte były jakieś stare listy z kraju. Na zewnętrznych stronach okładek dawały się nie bez trudu odczytać zapisy dat urodzin i zgonów członków dawnej rodziny. Tej książki do nabożeństwa już nie ma. W Małojarosławcu pod Moskwą cisnęły go w roku 1941 w ogień ręce krzyżowca, co „ocalał cywilizację" przed „hydrą bolszewicką".

Brat Pauliny i Rafała, Henryk (imiennik, lecz nie krewny dyrektora wydziału zagranicznego Rządu Narodowego, walczył w partii Lelewela), został ciężko ranny w jednej z bitew w początkach 1864 roku. Z wyjątkiem, rzecz jasna, Kazimierza, studenta Akademii Medycznej w Warszawie, który zmarł w 1859 roku, udział w Powstaniu Styczniowym brało całe siedmioosobowe rodzeństwo.

Tragiczna specyfika naszych dziejów w XIX wieku sprawiła, że jedyną bodaj, jak skromną formą cząstkowego odpłacenia długu, zaciągniętego przez naród wobec ofiary krwi Rafała Krajewskiego i poświęceń całej rodziny Krajewskich jest... wydanie w Polsce wyboru wierszy wybitnego rosyjskiego poety.

(Fragmenty szkicu n.t. życia i twórczości Grigorija Pietnikowa, który wraz z obszernym wyborem wierszy poety i jego korespondencją z poetami polskimi ukaże się niebawem nakładem Wydawnictwa Łódzkiego).

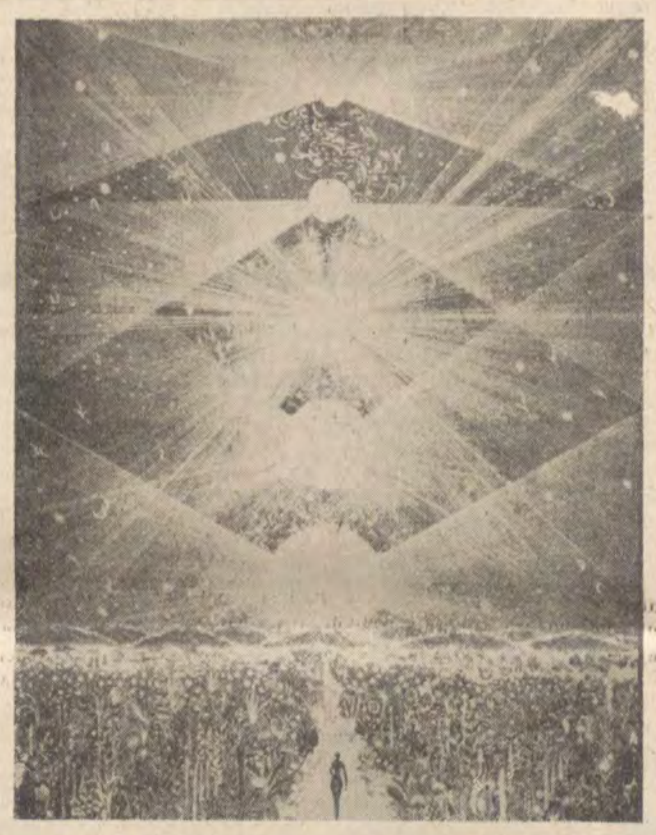

Henryk Płóciennik — „MIODOWY MIESIĄC"
(autocynkografia)

Tłumaczyła: **URSZULA ŁADA-ZABŁOCKA**

Elizabeth Kata urodziła się w Sydney w Australii. Oprócz „Okrucha błękitu„ napisała jeszcze jedną powieść pt. „Someone Will Conquer Them" (Ktoś ich pokona).

„Okruch błękitu" to historia inna niż wszystkie, niebanalna i piękna. Jej bohaterów, których, zdawałoby się, powinno wszystko dzielić, łączy głęboka i niezwykła miłość. Autorka sugestywnie i wnikliwie odtwarza ich niecodzienne przeżycia, trzyma czytelnika w napięciu i skłania do zajęcia własnego stanowiska wobec poruszanych tu zagadnień. Oparty na tej powieści film pt. „W cieniu dobrego drzewa" cieszył się ogromnym powodzeniem.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jeżeli słyszę, jak ktoś mówi: — Rety! Ale to niebo błękitne — to wiem dokładnie, jak niebo wygląda.

Raz, kiedy Rose-ann spytała dziadka: — Jak ci się podoba moja nowa sukienka, stary?

Dziadek odpowiedział:

— Pewno, że fajna kiecka... czerwona jak grzech. W sam raz dla ciebie, Rose-ann. — Dziadek był znów pijany; pijany i wściekły.

— Sza! Siedź cicho! Ty podły sukinsynu!

Podczas gdy Rose-ann wymyślała dziadkowi, siedziałam rozmyślając, że dobrze jest wiedzieć, jak wygląda kolor jej nowej sukienki.

Gdyby Rose-ann miała sukienkę czarną, to też bym wiedziała, jak wygląda. Ale gdyby miała żółtą, zieloną albo jakiegoś innego koloru, to już bym nie wiedziała.

Kiedyś wiedziałam, jak wszystko wygląda. Ale to było przed...

Przed dwunastu... nie, trzynastu laty. Miałam wtedy pięć lat, a teraz skończyłam osiemnaście.

Kiedy miałam pięć lat, Harry, mąż Rose-ann, a mój ojciec, wszedł nieoczekiwanie do mieszkania. Długo go nie było, bo walczył na wojnie.

Rose-ann miała akurat u siebie jednego ze swoich przyjaciół. Harry wpadł we wściekłość i strasznie poturbował tego przyjaciela.

Nawet jakby nie oblano mi oczu kwasem... i twarzy (przez przypadek, bo Rose-ann chciała trafić nie we mnie, a w Harry'ego, którego jak mówiłam, wcale się nie spodziewała)... to nawet jakby nie oblała mnie tym kwasem, to i tak nigdy więcej nie zobaczyłabym swego ojca.

Przyszła policja i zabrała ze sobą Harry'ego. Nigdy się teraz o nim nie mówi. Nie należy wspominać Harry'ego.

Zawsze będę pamiętać widok czerwonej krwi przyjaciela Rose-ann. Wyraźna i jasna na tle białych prześcieradeł, jakimi Rose-ann zaścieliła łóżko. Specjalnie dla tego przyjaciela.

Do tej pory jest sfiksowana na punkcie czystej pościeli. Przyjaciele doceniali to w niej, że jest taka czysta. Słyszałam, jak robili czasem takie uwagi:

— Jasne, że cenię taką czystą cizię. — Albo coś w tym rodzaju.

Znam kolor błękitny, bo jak byłam mała, to zawsze patrzyłam przez okno. Stale spoglądałam w niebo. I nigdy mnie to nie nudziło. Takie odległe i czyste tam w górze. Zawsze je będę pamiętać. Z całą pewnością.

Znam kolor czerwony, gdyż to był ostatni kolor (za wyjątkiem czarnego), jaki oglądałam. Czarny znam, bo tylko taki widzę. Kocham błękit. Lubię czerwień. Czarnego nienawidzę. Nienawidzę wszystkiego, co czarne.

Jak miałam dziewięć lat, dziadek wyszedł ze mną z mieszkania i sprowadził po schodach na ulicę. A wziął mnie dlatego, bo jeden z przyjaciół Rose-ann powiedział:

— Zabieraj stąd tego dzieciaka, laluniu. Nie jestem błaznem cyrkowym... Zabieraj go!

Jak to dziwnie było znaleźć się poza domem. Od kiedy oślepłam, wyprowadzono mnie zaledwie kilka razy.

Rose-ann i dziadek byli bardzo zajęci. Mój dziadek, a ojciec Rose-ann, pracował za dnia w „Męskiej". A Rose-ann też tam miała pracę, tylko w „Damskiej".

Wieczorem, żeby pozbyć się zapachu, jakim przesiąkł w „Męskiej", dziadek pił.

Rose-ann zaś sprowadzała do domu przyjaciół, żeby się od niego wyzwolić za całkiem godziwą opłatą.

Nie było więc czasu litować się nad kimś, kto nie potrafił sam zadbać o siebie.

Głupio było znaleźć się poza domem. I to nie tylko głupio ale i strasznie. Takie silne zapachy i tyle głosów dokoła. Nie potrafiłam rozróżnić ani jednego zapachu, nie mogłabym powiedzieć, skąd pochodziły te dźwięki i głosy wokół mnie... byłam przerażona.

Siedziałam na stopniu czekając, jak mi przykazał dziadek. Sam poszedł kupić butelkę za te drobniaki, jakie mu dała Rose-ann za to, żeby mnie zabrał i oczyścił jej teren.

Ucieszyłam się, kiedy usłyszałam czyjś głos.

To jakaś dziewczynka zwracała się do mnie.

Powiedziałam jej, że jestem niewidoma i że ona jest miła. Została ze mną, żeby porozmawiać. Już od tak dawna nie rozmawiałam z nikim poza dziadkiem, Rose-ann czy którymś z jej przyjaciół. Było wspaniale.

Dziewczynka powiedziała, że moglibyśmy zostać przyjaciółkami. Mogłaby przyjść do naszego mieszkania i opowiedzieć mi wiele różnych rzeczy. A czasami to nawet może sprowadziłaby mnie na dół, żebym sobie posiedziała na schodkach. Opisałaby mi, jak wszystko wygląda.

Nazywała się Pearl. Podobało mi się jej imię. Podobał mi się też jej głos. Zdawała się otwierać przede mną nowe życie...

Zła byłam na dziadka, jak wrócił. Kiedy przyszedł, to zaraz zaczął krzyczeć:

— Wynocha!

Tylko tyle: „Wynocha!"

Byłam zawiedziona i wściekła.

— Dlaczego krzyknąłeś „wynocha" i wyrzuciłeś moją przyjaciółkę?

— Twoją przyjaciółkę? — powtórzył. Twoja przyjaciółka to Murzynka!

— Nic mnie to nie obchodzi! Nie obchodzi! — krzyczałam. A potem spytałam go: — Co to jest Murzynka? Dlaczego nie mogę mieć przyjaciółki Murzynki?

— Murzyni są czarni — odparł dziadek. — Chcesz mieć czarną przyjaciółkę? A ta jest czarna jak noc.

Czarna! Nienawidziłam Pearl. Dosyć miałam czarnego koloru w życiu.

Gdyby Pearl była chociaż czerwona... albo błękitna...

ROZDZIAŁ DRUGI

Każdy cal naszego pokoju znam tak dobrze jak własne zęby. Podobnie jak mój język zna liczbę i kształt zębów, tak ja znam ten pokój.

Utrzymuję go w idealnym porządku. Nauczyła mnie tego Rose-ann. Jeśli dziadek tylko poruszył jakiś przedmiot, natychmiast to zauważę.

Jak jeszcze byłam mała, musiałam czekać, aż któreś z nich wróci i da mi jeść, ale potem nauczyłam się sama sobie przyrządzać jedzenie i wolałam zjeść przed ich powrotem.

Ponieważ oboje, Rose-ann i dziadek, pracują w takim miejscu, gdzie się ludzie załatwiają, jak wracają do domu są cali przesiągnięci jakimś środkiem dezynfekującym, a ja nie znoszę tego zapachu.

Ja jem pierwsza, oni jedzą po powrocie z pracy. A zdarza się, że wcale nie wracają do domu.

Toteż kiedy Rose-ann powiada:

— Jak to dobrze, że ten dzieciak jest taki cwany.

— To hańba i wstyd, że jest właśnie taki. — Dziadek prze-

BRYLANTOWA MAFIA

Naczelnik południowoafrykańskiej policji wysypał na biurko garść diamentów. Jeden z nich obrócił w palcach i zaciągając się dymem z papierosa, powiedział:

— Ten kamyczek waży dziewięć karatów i kosztuje trzy tysiące dolarów.

Następnie wybrał inny, nieco większy od pestki wiśni:

— A ten kosztuje dziewięć tysięcy dolarów.

Włożył diament do ust, przesunął go językiem i jak gdyby nigdy nic ciągnął dalej:

— I co, nikt by nawet nie pomyślał, że mam w ustach dziewięć tysięcy dolarów. Diamenty i brylanty są dla przemytników najbardziej łakomym towarem. Kosztują drogo, a miejsca zajmują mało. Przemytnik może je schować gdziekolwiek. W węźle krawata można ukryć cały majątek. Może je ukryć w tubce od pasty do zębów, w kierownicy samochodu, w uszach, w nosie, czy ustach...

DZIEDZICZNY ZAWÓD

Przemytnik wie doskonale, że brylanty, podobnie jak i złoto, są uznanym międzynarodowym środkiem płatniczym. Ponadto stałe ceny na brylanty i złoto wykluczają ewentualność inflacji. Pewien południowoafrykański handlarz brylantami rzecz wyjaśnia w kilku słowach:

— Mając brylanty można bez trudu wywieźć z kraju mnóstwo pieniędzy. Jeśli bym przewiózł za granicę dwadzieścia pięć tysięcy rendów (około 35 tys. dolarów) w asygnatach, to mógłbym je wprawdzie wymienić na dolary w Genewie, ale straciłbym na tym 25 procent. A jeżeli kupię tutaj nieoszlifowane brylanty, to sprzedam je za granicą z dużym zyskiem.

Handlarze brylantami należą do znakomicie zorganizowanej korporacji. Zawód ten przechodzi z ojca na syna, nieraz przez wiele pokoleń. Częstokroć członkowie brylantowego klanu są powiązani rodzinnie. Jeśli spytać handlarza brylantami z Hongkongu z kim prowadzi interesy w Antwerpii, odpowie: „Z firmą mego brata". „A w Nowym Jorku?", „Tam także mam brata, a mój cioteczny brat jest właścicielem firmy w Tel Avivie".

Handlarze brylantami mają swoje własne kluby w Londynie, Antwerpii, Amsterdamie, Paryżu, w Wiedniu, Mediolanie, Tel Avivie i Nowym Jorku, do których tylko oni mają prawo wstępu.

— Wystarczy, że pokażę swój bilet wizytowy, a wpuszczą mnie do każdego „brylantowego klubu" — mówi pewien handlarz brylantami z Nowego Jorku. — Nie dajemy żadnych pokwitowań. Wystarczy uścisk dłoni. Oznacza to, że transakcja została zawarta. Mamy do siebie absolutne zaufanie. Jeżeli je ktokolwiek zawiedzie, trafia na czarną listę i wychodzi z branży raz na zawsze.

Złapać przemytnika, szmuglującego brylanty za granicę, jest niezmiernie trudno. Często działają oni za plecami handlarzy brylantami, którzy znają ich dobrze i chętnie korzystają z ich usług.

Wydobyty diament musi się natychmiast znaleźć na legalnym rynku. Prawo zabrania przechowywania diamentów osobom, które nie są oficjalnie zarejestrowane choćby w jednej z trzech rubryk zawodu: poszukiwaczy brylantów, handlarzy brylantami i szlifierzy.

Jedna z najgłośniejszych w świecie afer brylantowych miała miejsce w 1962 roku. Jej „bohaterem" był handlarz brylantami z Johannesburga. Dowiedziawszy się, że w kopalni, niedaleko Kapsztadu, znaleziono diament o wadze siedmiuset karatów, kupił go za 84 tys. dolarów i natychmiast poleciał samolotem do Antwerpii, gdzie go sprzedał za... 480 tys. dolarów.

TAJEMNICZA PRZESYŁKA

Jakimi by drogami nie wędrował przemycany diament, koniec końców trafia do rąk umiejętnego szlifierza, który strawi dni, tygodnie, lub nawet miesiące, żeby zalśnił cudownym ogniem, ale przede wszystkim, żeby wzrosła jego wartość. Później brylant rozpoczyna swą dalszą przemytniczą wędrówkę.

Nieraz celnik już zawczasu otrzymuje informację o przemycanych diamentach czy brylantach, nieraz wykrywa je przypadkiem, podczas wyrywkowej rewizji. Niedawno pewien pracownik nowojorskiej komory celnej wydostał z worka poczty lotniczej, nadesłanej z Europy grubą kopertę.

— Niech mnie szlag trafi — powiedział do kolegów — jeżeli nie jest ona wypchana pornografią.

Ale kiedy ją otworzył, wysypały się brylanty. Ich wartość oceniono na okrągłe 10 tys. dolarów. Były ukryte między dwoma cienkimi, ale bardzo mocnymi kartonami, dlatego mogło się wydać, że w kopercie są odbitki fotograficzne. Adresu nadawcy na kopercie nie było, ale sądząc po znaczku pocztowym przesyłkę wysłano z Antwerpii. Adresatem był opustoszały magazyn w Brooklynie. W ciągu kilku następnych tygodni nowojorska komora celna zatrzymała ogółem trzynaście przesyłek listowych z brylantową zawartością, skierowanych na ten sam adres.

Przesyłki „przepuszczano" na adres magazynu, który poddano jednocześnie ścisłej inwigilacji, w nadziei, że ktoś przyjdzie po odbiór kopert. Czekano długo. Wreszcie, którejś nocy, była chyba druga nad ranem, pod magazyn zajechał samochód. Za kierownicą siedziała kobieta. Wyszła z auta, uważnie zlustrowała najbliższe otoczenie magazynu i powiedziała do siedzącego w samochodzie mężczyzny: „Wszystko w porządku". Tajemniczy mężczyzna cicho otworzył drzwiczki auta i skierował się do magazynu. Kładł już rękę na klamce, kiedy jeden z celników, zaczajony w przyległej uliczce zrobił nieostrożny ruch i spłoszył nocnego gościa. Okazało się, że mężczyzna ma krewnych w Antwerpii, od dawna podejrzewanych o przemyt brylantów. Niestety, nie zdążył wejść do magazynu i odebrać przesyłek, zabrakło więc dowodów na postawienie go przed sądem. Trzynaście kopert z brylantami, wartości ponad 130 tys. dolarów, skonfiskowano. To jedyne, co można było zrobić. Oczywiście nikt nie zażądał ich zwrotu...

„PRZYJACIEL" NA BURCIE

Jedna z band w Antwerpii, specjalizująca się w szmuglu brylantami do Nowego Jorku, błyskotliwie rozegrała kilka większych „operacji". Odbyło się to mniej więcej tak: nowojorski handlarz brylantami leci do Antwerpii i zamawia u swego kolegi towar na sumę 100 tys. dolarów. Zaraz potem, w pobliskim barze, nawiązuje kontakt z agentem syndykatu przemytników. Ten prowadzi kupca do eksperta, który rzetelnie ocenia wartość towaru.

— Czy zgadza się pan zapłacić sześć procent od wartości towaru za jego dostawę do Nowego Jorku? — pyta przemytnik.

Kupiec rozważa propozycję: 6 tysięcy dolarów jest ceną sensowną, ale wciąż się waha.

— A jeśli się dostawa nie uda i towar skonfiskują? — pyta.

— Wówczas otrzyma pan pełny ekwiwalent pieniężny. Towar bezzwłocznie ubezpieczymy, jak tylko otrzymamy go do rąk.

Kupiec jest zadowolony. Wręcza brylanty agentowi, a sam powraca do Nowego Jorku. Po upływie kilku dni zostaje telefonicznie poinformowany, gdzie może odebrać swoje brylanty.

Istnieje mnóstwo sposobów przerzutu brylantów przez Atlantyk. Pewien kapitan powietrznego transportowca miał specjalnie wykonane buty ze schowkiem w wydrążonych obcasach. Albo pieski dla dzieci, z plastiku lub drewna. Boruje się w nich mnóstwo dziurek, w których ukrywa się brylanty. Dziurki zakleja się i pieski maluje od nowa. Na adres pewnej skrytki pocztowej w Nowym Jorku nadeszło ponad pięćdziesiąt przesyłek z takimi pieskami. Wreszcie jakiś bystry celnik zwrócił uwagę, że są one ubezpieczane na bardzo wysoką sumę. I tak odkryto aferę. Wartość przemycanych w ten sposób brylantów oceniono na półtora miliona dolarów.

Przemytnicy nie gardzą też i morskim transportem przez Atlantyk. Wygląda to tak: zamawia się jedną kajutę na przepłynięcie z Europy do USA i z powrotem. Po przybyciu do Nowego Jorku przemytnik głęboko chowa brylanty w kajucie i czyściutki jak łza przechodzi rewizję celną. Gdy po upływie kilku dni statek wraca do Europy, on znów zajmuje tę samą kajutę, a tuż przed wyruszeniem statku zjawia się na burcie stary przyjaciel „turysty", żeby nie tylko uściskać go serdecznie i życzyć pomyślnych wiatrów, ale przy sposobności odebrać również brylanty i wynieść je na ląd.

HONGKONG — RAJ PRZEMYTNIKÓW

Na Wschodzie zawsze odczuwano słabość do szlachetnych kamieni. Ozdabiano nimi kobiety, w drogich kamieniach lokowano kapitały.

Ojczyzną legalnego handlu brylantami jest Hongkong i nigdzie w świecie nie kupi się tak tanio brylantów, jak tam. Brak ograniczeń celnych, tania siła robocza, niskie podatki, a stąd i niskie ceny. Również na brylanty. Pobliska Japonia znajduje się na czołowym miejscu nabywców brylantów w Hongkongu. W ciągu ostatnich dziesięciu lat jej wydatki na zakup brylantów zwiększyły się o tysiące procentów. Japonia wywozi legalnie z Hongkongu brylanty wartości dziesięciu milionów dolarów rocznie. A ile ich płynie do Japonii nielegalną drogą?... Z Hongkongu przemyca się brylanty także na Filipiny, do Indonezji, do Syjamu, USA, NRF.

Przemyt diamentów z Południowej Afryki do Zachodniej Europy, Stanów Zjednoczonych i na Daleki Wschód osiągnął niebywały wprost rozmach. Handlem diamentami i brylantami kieruje potężna „brylantowa mafia". Dysponuje ona szeroko rozgałęzioną siecią agentur i jest powiązana z legalnym byznesem. Dlatego trudno wyraźnie określić granicę, na której kończy się legalny handel, a zaczyna kontrabanda na światową skalę.

Oprac. J. CZECH

Dalszy ciąg ze str. 7

tygodniach znaleźli Joannę, Joannę-bigamistkę. Najzabawniejsze w tej całej historii jest to, że mężowie Joanny byli gotowi wycofać swoje skargi, jeżeli ona do nich powróci. Jak to miało wyglądać technicznie, nie zdążyłem się dowiedzieć, bo dojechaliśmy do Koluszek. Ja miałem tu przesiadkę, a mój przygodny rozmówca jechał dalej. Niemniej to, co opowiedział, bardzo mi się spodobało, tym bardziej, że ilustrowane było słonecznym, majowym pejzażem podłódzkim, przesuwającym się jak niemy film w ekranach okien.

* * *

W dworcowym bufecie spotykam Znakomitego Kompozytora, Instrumentalistę, Dyrygenta i Odtwórcę. Siedzi nad kuflem piwa rozgoryczony po najgłębsze zakamarki swojego, nieprostego przecież jestestwa.

— Panie, pan pracuje w prasie, a o mnie nikt nie pisze. Nikt nie napisze, jak ja komponuję, dyryguję, odtwarzam. Żeby ktoś chciał napisać o mnie, a nikt nie chce. I jak tu tworzyć i odtwarzać, jak dyrygować i instrumentować, powiedz pan?

Dosiada się do nas Wielki Architekt:

— O mnie też nie piszą, a przecież gdyby napisali...

Podchodzi Aktor: — Jestem prezesem stowarzyszenia, a mojego nazwiska daremnie by szukać w recenzjach...

Artysta już od samych drzwi krzyczy: — O Picassie napisano tomy, a o mnie? Wszędzie świństwo...

Czuję się winny. Postanawiam napisać o Kompozytorze, o Architekcie, o Aktorze, o Artyście...

— Panie, pisz pan, co chcesz, tylko pisz pan o nas dobrze — krzyczą chórem, bijąc w kufle jak w dzwony. Napiszę dobrze, nie jestem szakalem.

* * *

Czasami dręczą mnie wątpliwości czy dworzec w Koluszkach nie jest li tylko senną ułudą, czy nie leży czasami poza obrębem rzeczywistości. Gdyby tak było, wszystko stałoby się oczywiste i zrozumiałe. Ale jeśli tak nie jest?

GLOBTROTTER

---

ciwstawia się wszystkiemu i wszystkim. Nie może nic na to poradzić. Taki już jest.

— Pleciesz! Wstrętny pijus z ciebie! — Rose-ann i dziadek zawsze kłócą się i nie zgadzają ze sobą. Już tacy są.

— Będzie mnie tu gadać — rąbnął pięścią w stół. Ma taki zwyczaj. Dawniej to aż podskakiwałam w górę na te niespodziewane huki.

— Plecie i plecie, ten wstrętny stary darmozjad, hi, hi, hi! — śmiała się Rose-ann.

— Plecie! Lepiej... chociaż teraz już z niej duża dziewczyna... ale może lepiej, żeby Sleena umarła! — wrzeszczał dziadek. — Lepiej, żeby umarła!

— Lepiej, żeby taki darmozjad jak ty umarł! Też pomysł! Sleena ma fajne życie. Przyjemne i spokojne. — Rose-ann była wściekła na dziadka.

— Czy złe masz życie, Sleena? — Czasami Rose-ann staje się bardzo wzniosła.

Bach! — Sleena ma wspaniałe życie! Twoje życie jest wręcz znakomite, no nie, Sleena? — Dziadek i Rose-ann rzadko odzywają się do mnie; tylko przy takich okazjach kiedy się kłócą, zarzucają mnie pytaniami.

Zastanawiam się na tym, o co mnie pytają. Poważnie się zastanawiam, bo chcę im dać właściwą odpowiedź na ich pytania, a poza tym cieszę się, że się mną zainteresowali.

Ale nigdy nie dają mi czasu na odpowiedź. Te kilka razy, jak usiłowałam coś wtrącić, zignorowali mnie.

Najgorsza, ale to najgorsza kłótnia między Rose-ann a dziadkiem wybuchła tego wieczoru, kiedy jeden z jej przyjaciół (nie stały, tylko przygodny) wyrzucił Rose-ann z pokoju i zgwałcił mnie. To była naprawdę straszna noc.

A zawsze uważałam, że Rose-ann przyjemnie spędza czas w tym swoim czystym łóżku! Od tej nocy zaczęłam myśleć inaczej i podziwiałam Rose-ann za jej dzielność, i zrozumiałam teraz jej tak często powtarzaną uwagę:

— Nie ma chleba? Nie ma chleba, to haruj, Rose-ann D'arcey, żeby na niego zarobić dodatkowo!

Tej nocy myślałam, że dziadek zrobi z Rose-ann marmoladę, tak jak Harry z jej ostatniego przyjaciela, kiedy pewnego wieczoru niespodzianie wrócił do domu z wojny.

Dziadek formalnie oszalał.

Rose-ann tłumaczyła się, że nie jest wcale winna. Wściekła była na swego przyjaciela za takie zachowanie.

Powiedziała:

— Co mogłam zrobić, zamknięta w korytarzu? Powiedz! No, chętnie posłucham twoich rad!

Dziadek rzucił się na Rose-ann. Nikt nie potrafiłby opowiedzieć, co to była za bójka. Trzeba ją było słyszeć, żeby uwierzyć. Okropna bójka.

Od tej pory Rose-ann zmieniła się w stosunku do mnie. Zaczęła mnie nienawidzieć. Smutno mi się zrobiło, bo zawsze dotąd była dla mnie miła.

Wynajęła pokój na końcu korytarza i tam zapraszała swoich przyjaciół. Bardzo się z tego ucieszyłam.

Ten pokoik był malutki, całkiem bez okna. Rose-ann powiadała, że przy złej pogodzie nie był taki zły, ale w upały, uff! W upały był nieznośny. Powiadała, że kiepski do interesu. Żaden facet nie lubi, żeby mu z gorąca całkiem przeszło.

Rose-ann powiedziała do dziadka i do mnie:

— Żaden facet nie lubi, żeby mu przeszło. Tak właśnie usłyszałem ostatniej nocy, i to od mojego stałego bywalca! „Lalunia, powiada, całkiem mi już wszystko przeszło! Spotkamy się, ciziu, jak sobie założysz klimatyzację, zgoda?" Co ty na to? Mnie, Rose-ann, wstawia taką gadkę. Co ty na to? Stały klient wstawia mi gadkę. Dlaczego? Bo moje własne dziecko, pomyśleć, własne dziecko robi oko do mojego przyjaciela, wtrąca się do mojego interesu! Co ty na to, ha, ha, ha!

Rose-ann chyba oszalała, dziadek wrzeszczał:

— Sleena nie robi oka do żadnego twojego przyjaciela!

— A ja powiadam, że robiła — Rose-ann stawała się coraz bardziej szalona.

— Rose-ann, do diaska, ale ty masz czarne serce — powiedział — Sleena nie może do nikogo robić oka. Przecież ona jest ślepa.

— Oho ho! Ty mi to mówisz!

— Nie może! — upierał się. — Stul pysk! Odczep się od Sleeny. To ty sama lubisz to robić. Polecisz nawet za dolara z byle kim i byle gdzie.

— Za dolara! Ja? — krzyczała.

— Tak, ty. Ty pyskata małpo — odszczekiwał się dziadek.

— Brudas, brudas, brudas! Posłuchajcie, co tu gada ten najbrudniejszy z pijusów. A co ty gotów byś zrobić za dolara... Ho, ho, ho!

Dziadek najbardziej nie lubił, jak się go nazywało brudasem. Nienawidził brudu. Pomyślałam, że zanosi się na większą kłótnię. My wszyscy nie znosiliśmy brudu.

Jak człowiek jest ślepy, najgorszą rzeczą, ale taką naprawdę najgorszą jest to, że nie może widzieć tego, czy coś jest czyste, czy brudne. Na przykład jedzenia. Często musiałam wyrzucać to, co mi zostawiono do zjedzenia. Zawijałam je w papier i ciskałam do pojemnika na śmieci, tylko dlatego, że mucha mogła po tym chodzić. A może jakaś nieżywa wpadła do jedzenia. Och, mój Boże! Kiedy tak rozmyślałam o tych rzeczach, jakże wtedy pragnęłam widzieć...

Rose-ann powiedziała dziadkowi, że jest najgorszym i najbrudniejszym pijusem, jakiego w całym swoim życiu widziała.

— Przez trzydzieści pięć lat — wrzeszczała najgłośniej, jak tylko potrafiła — nie spotkałam większego brudasa niż mój własny ojciec.

Ale, o zgrozo, na tym się kłótnia nie skończyła. Dziadek zapomniał, że wyzwano go od brudasów, natomiast wpadł we wściekłość, że Rose-ann odjęła sobie dziesięć lat.

Bowiem jeszcze jedna rzecz doprowadzała dziadka do furii, a mianowicie kłamstwo.

Teraz rozpoczęli kłótnię na temat wieku Rose-ann. Czekałam, póki Rose-ann nie poszła wreszcie na koniec korytarza do pokoiku, gdzie któryś z jej przyjaciół, ku utrapieniu całego domu, awanturował się i wykrzykiwał strasznie ordynarne słowa.

Słyszałam, że wrzeszczy na swego przyjaciela, a potem na któregoś z sąsiadów, który się do niej skarżył.

Kiedy już zatrzasnęła z hukiem drzwi za sobą i przyjacielem, spytałam dziadka, czy nie zechciałby zagrać ze mną w domino, nim wyjdzie, żeby się upić.

Dziadek odpowiedział, że akurat nie ma nic lepszego do roboty, jak grać ze ślepą dziewczyną w domino. Jedyne, czego chce, to się upić i odczepić od nas obu, Rose-ann i mnie.

Przykro mi było, że tak uważa. Łudziłam się, tak jak zresztą zawsze, że skoro stanął po mojej stronie przeciwko Rose-ann, to zrobił to dlatego, że mnie lubi.

Zanim jeszcze dziadek wyszedł, spytałam go, czy rzeczywiście Rose-ann ma czarne serce.

— Naprawdę Rose-ann ma czarne serce?

— Tak — odpowiedział.

— A jakiego koloru jest twoje serce, dziadku? — Prosiłam Boga, żeby jego nie było czarne.

— Moje serce?

— Tak. Jaki kolor ma twoje serce?

— A jaki kolor najbardziej lubisz?

— Najbardziej lubię błękit.

— To właśnie moje serce jest błękitne.

— Błękitne! — ucieszyłam się. — A wiesz, jaki jest kolor mojego serca, dziadku? — Postanowiłam, że jeśli moje serce okaże się czarne, to się zabiję. Czekałam, wstrzymując oddech, by się przekonać, czy on wie.

— Twoje serce, Sleena, ma biały kolor — dziadek otworzył drzwi na korytarz.

Przypomniałam sobie, że znany mi jest jeszcze jeden kolor. Biały! Byłam podniecona.

— Czy nie sądzisz, że moje serce jest trochę czerwone i trochę białe?

— A chciałabyś, żeby tak było, Sleena?

— Tak.

— To tak jest.

— Na pewno?

— Na pewno. A teraz siedź cicho! — I dziadek wyszedł, żeby się upić. Cieszyłam się, że jego serce jest niebieskie, a moje czerwono-białe. Wiedziałam, że trudno mi będzie znieść, żeby Rose-ann, z tym swoim czarnym sercem, dotykała mnie czy coś dla mnie robiła.

ROZDZIAŁ TRZECI

Najprzyjemniejszym dla mnie dniem tygodnia jest taki dzień, kiedy przychodzi pan Faber, żeby zabrać zrobioną przeze mnie robotę a zostawić nową.

CIĄG DALSZY NASTĄPI

FILM

„NA WYLOT"

Bezosobowość, idąca najczęściej w parze ze słabością warsztatu, jest cechą główną nie tylko większości polskich debiutów reżyserskich, ale również kolejnych filmów wielu autorów, zasiedziałych w naszej kinematografii. Z tego właśnie powodu premierę filmu **„NA WYLOT"** przyjąć należy jako wydarzenie. Fabularny debiut reżysera **Grzegorza Królikiewicza** i operatora **Bogdana Dziworskiego** oraz aktorskie kreacje **Anny Nieborowskiej** i **Franciszka Trzeciaka** — to ujawnienie osobowości, których tak bardzo brak w polskim kinie. Film Królikiewicza i jego zespołu jest przy tym przykładem harmonii intencji i wykonania — podkreślam tę sprawę dlatego, że nie z tuzinkową opowieścią filmową mamy tu do czynienia, lecz z przedsięwzięciem poszukiwań, będących wejściem w nurt kina artystycznego. To ostatnie rozumiem jako manifestację określonego światopoglądu, intelektualnej dyskusji czy refleksji i właściwą dla nich formę estetycznego ukształtowania tworzywa, którym artysta się posługuje.

Film „Na wylot" oparli realizatorzy o głośny przed wojną krakowski proces bezrobotnego małżeństwa Maliszów, którzy popełniwszy zbrodnię, stanęli przed sądem doraźnym. Wyrok mógł być jeden — kara śmierci. Ten sam sąd zwrócił się jednak do prezydenta państwa o zmianę wyroku. Dlaczego? Film próbuje odpowiedzieć na to pytanie. Nie są to jednak próby odpowiedzi, mieszczące się wyłącznie w kategoriach rozważań prawniczych, choć, nawet prawu, a raczej jego wykonawcom, sprawa Maliszów przysporzyła kłopoty.

Grzegorz Królikiewicz przekracza próg prawdy o Maliszach, widzianych li tylko w pewnych określonych układach społecznych. Wiadomo, gdyż dokładne sygnały ich życiowej sytuacji są przecież dane, że żyją nędznie, bez pracy, bez możliwości jej dostania, bez własnego domu. Ta sytuacja nie musi jednakże rodzić zbrodni. Już to wystarcza, by prawdy o Maliszach szukać w nich samych, w ich konstytucji psychicznej, w pytaniach o ich „normalność". Twórcy filmu, jak sądzę, zdołali wyeliminować ze swych rozważań moment patologii. Jeśli o niej mówić, to tylko w kategorii znaczeń szerszych, poddając w wątpliwość nie tylko „normalność" wewnętrznego świata Maliszów, ale w jakimś sensie także tego, który jest wokół nich. Nie jest to jednak patologia, której przydać należy kwalifikację medyczne — jest to chorobliwa b r z y d o t a świata, wyeksponowana w filmie — to prawda — ale przecież uchwytna, istniejąca. To podkreślenie brzydoty świata rozpoczyna obraz meliny, kończy tandetny entourage hotelu. Między nimi Maliszowie szukali dla siebie miejsca i popełnioną zbrodnią, wobec której nie czuli winy, ostatecznie zanegowali wartość własnego życia i życia tych, którzy są wokół. W tej postawie, jak byśmy na rzecz nie patrzyli, jest coś przerażająco nieludzkiego, ale ci sami ludzie w sądzie ujawnią to, o co ich nie podejrzewaliśmy. Zbrodnię potraktują jako coś jedynie ich własnego, nawet wielkiego — jedyną rzecz, jaką nieludzki świat im dał, jako prywatność. Miłość ujawnią w wymiarze, który ze wcześniejszych obrazów ich wzajemnych kontaktów nie wynikał, to znów ich prywatność, którą dysponować mogą sami, wbrew temu, co jest wokół. To jedyny i zarazem ostatni możliwy, ludzki gest Maliszów.

Nie ma w tym filmie odpowiedzi ostatecznej na zawieszone w nim pytania. Zbrodnia jest bowiem zbrodnią, człowiek w biologicznych stronach swego życia jest rozpoznawalny, tam gdzie próbuje dotrzeć do wnętrza jego psychiki, zrozumieć wszystkie racje i motywy, tam możemy być bezradni, a wiedza jednak ograniczona. Dlatego pytania o Maliszów nie mają w „Na wylot" pełnych odpowiedzi i mieć nie mogą. W budzącej uznanie konsekwencji twórców tego filmu jest jeden tylko pośliz. Jakie są jego przyczyny?

W całym filmie widzimy Maliszów w jakichś tam działaniach — próbach buntu, poszukiwaniach wyjścia, przystosowaniach. Są to sytuacje zamknięte — tak jest w melinie, czy w próbie samobójstwa Malisza na torach kolejowych, są też sytuacje otwarte — poddane interpretacji widza, jak w scenie bicia w dzwon, czy scenie hotelowej, są sytuacje, czekające na dopowiedzenie, jak w scenie drukarni czy nawet zabójstwa, są sytuacje w kadrze i poza nim. W żadnej z nich główni bohaterowie filmu nie mówią. Są wyrażeni gestem, mimiką, wyraźną swą fizyczną jakością. Wiedzę o nich dopełniają elementy świata, który jest wokół — elementy wybrane na zasadzie ich swoistej symboliki, funkcjonujące na nowo w zbliżeniach, na zasadzie pars pro toto, bądź dopowiedzeniach tego, czego nie ma w kadrze, a co musi być w świadomości odbiorcy. Istotną rolę pełni również skrót narracyjny i ruch niespokojnej kamery, która w koncepcji zdjęciowej oddaje zarówno wewnętrzny stan bohaterów, jak i sposób opisu świata zewnętrznego. Maliszowie, jak powiedzieliśmy, nie mówią — odebrano im, rekompensując obrazem i dźwiękiem — jeden z głównych wyróżników człowieczeństwa. Zaczynają dopiero mówić w sądzie — ich wypowiedzi mają tłumaczyć ich samych i ich czyn. Scena to znakomita, lecz naraz okazuje się, że słów w niej za dużo. Nie wytrzymano próby pokazania i zrozumienia człowieka, któremu odebrano prawo mówienia. Słowa Maliszowej, jej wyjaśnienia i chęć przejęcia zbrodni na siebie mieszczą się jeszcze w konwencji. Maliszowi jednakże kazano mówić to, co byłoby próbą wyjaśnienia przyczyny, usprawiedliwienia, znalezienia choćby cząstki ludzkiej racji popełnienia zbrodni. Ten osąd świata dokonany przez Malisza — to nie jego słowa, to słowa Grzegorza Królikiewicza, któremu podstawowe, moralne, ludzkie racje nie pozwoliły zbrodni Maliszów zostawić bez głębszego jeszcze komentarza. Nie czynię z tego zarzutu, nawet, jeśli dostrzegam pewne pęknięcie w ogólnej, artystycznej koncepcji filmu — sprawa człowieka okazała się ważniejsza.

EWA NURCZYŃSKA

TV

ZAMEK W SZWECJI

Książka Francoise Sagan „Witaj, smutku" była swego czasu bestsellerem głośniejszym niż obecnie „Love story". A co istotniejsze, książkę traktowano jako pewną propozycję intelektualną. Dyskutowano o niej żywo, dorabiano ideologie, kiedy Ericha Segala przyjęto (i chyba słusznie) jako sprytnego grafomana, który celnie trafił w aktualne zapotrzebowanie zachodniego rynku czytelniczego (Nie tylko, ale to już inna sprawa).

Sława Francoise Sagan trwała kilka sezonów, w następnych książkach już tylko powielała siebie, umiejętnie dyskontując sukces pierwszej. I nie byłoby o czym mówić po przeszło dziesięciu latach, gdyby nie **ZAMEK W SZWECJI**, sztuka teatralna, jedyna w dorobku autorki, która przetrwała próbę czasu. A w Teatrze TV trafiła na Edwarda Dziewońskiego (reżysera), który ma niezawodne wyczucie tego gatunku komediowego.

Obejrzeliśmy więc „Zamek w Szwecji" z prawdziwą przyjemnością i myślę, że również uszanowaniem dla dramaturgicznego talentu autorki, jej poczucia humoru i umiejętności przedstawienia w pozornie błahej sztuce, problemów o charakterze uniwersalnym, a przez to trwale aktualnych. Autorka wymyśliła zamek w Szwecji, w którym egzystują ludzie życiem w połowie prawdziwym, w połowie irracjonalnym. Nie chodzi tu o dosłowne przebieranie się, przywdziewanie kostiumu sprzed wielu epok, ale właśnie ów irracjonalizm, który często nie wiadomo gdzie się zaczyna, a gdzie kończy, a który jest udziałem chyba nie tylko bohaterów sztuki, dziwnej rodziny Falsenów.

Sztuka ta jest duża niespodzianką dla czytelników książek raz egzaltowanej, raz neurastenicznej autorki. Kto by się spodziewał takiego dojrzałego spojrzenia na ludzkie ułomności, przywary, dziwactwa i anomalie psychiczne. Saganka przedstawia swą mikro-społeczność w której wszyscy są mimo kostiumów prześwietleni jak rentgenem, w której wszyscy kwalifikują się do

leczenia w zakładzie zamkniętym, a jednak zdobywają, choćby na chwilę, choćby w konkretnej decyzji, nasze zrozumienie, a czasami nawet sympatię. Znajdujemy się w ten sposób w sytuacji niemal klasycznej, kiedy przychodzi nam wartościować autentyczną propozycję — nie możemy wydać jednoznacznego osądu.

Nie chcę przeceniać wartości „Zamku w Szwecji", bo rzeczywiście nie są to rejony najwybitniejszej sztuki dramaturgicznej, ale podkreślić jej niewątpliwe walory. Doskonała umiejętność zorganizowania pysznej zabawy, a jednocześnie zaproponowania czegoś więcej. Jest to więc przykład rozwiązania z którym wielu autorów nie umie sobie poradzić.

Takim właśnie nieudanym przykładem może być **SZACH-MAT Władysława Zawadzkiego**, prezentowany w drugim programie tydzień wcześniej. W tym wypadku autor przyodział swych bohaterów w kostium gangsterski, uzbroił w maski i pistolety. Ale ta cała (pomijając niezły pomysł) myślowa strona groteski, irracjonalnej przewrotności była przyciężka, trudno strawna, nie zachęcała widza do wysiłku, by podążyć za autorem w kierunku odczytania jego intencji. Brakło tu tego, co u Saganki jest jej najsilniejszą bronią: prawie niezauważalnego przekraczania przez widza owej granicy, gdzie jest zabawa, żart, a zaczynają się obszary spraw istotnych, pobudzających do sprzeciwu lub mającej swe konsekwencje akceptacji.

Mówiąc już ogólniej o twórczości popularnej, nie pozbawionej większych ambicji, trzeba sobie jasno zdawać sprawę, że forma, język wypowiedzi, zręczna i logiczna konstrukcja fabularna, mają w tym wypadku decydujące znaczenie. Można mówić o sprawach poważnych i ostatecznych w sposób prosty, czasami zabawny, a jednocześnie efektywny. A można też piać na wysokim diapazonie myśli i uczuć i — tylko uśpić widza, bądź czytelnika.

Pisząc powyższe nie chcę stwierdzić, że musi to być reguła. Broń nas wszystkich Panie Boże! Ale jest to możliwość, możliwość często w udany sposób wykorzystana.

JAROSŁAW TARNO

PS. Nie napisałem słowa o aktorach wspomnianych widowisk telewizyjnych. Cóż, byli po prostu świetni. I wszyscy do tego zdążyliśmy się przyzwyczaić. Byle się tylko powszechnymi pochwałami P. T. Recenzentów za bardzo nie rozpieścili.

TV

KSIĄŻĘ PIÓRA I CONTESSA Z WIERZCHOWNI

Jeszcze jeden serial TV, „Wielką miłość Balzaka", mamy więc już z głowy. Żegnając się z nim, poświęćmy mu kilka refleksji. Najpierw ogólniejszej natury.

Siła serialu leży w jego cykliczności, która odpowiada charakterowi odbioru telewizji. Najlepszy film, czy jednoodcinkowy spektakl teatru TV łatwo umknąć może bezpowrotnie uwadze, ale powtarzający się regularnie w określone dni i o określonej godzinie serial korzysta z innych praw. Daje publiczności czas na wymianę poglądów, pozwala nowym, zachęconym tą drogą widzom włączać się w oglądanie w dowolnym momencie. Jeśli stracili pierwsze odcinki, zrekompensuje im to krótkie streszczenie, po którego obejrzeniu stają się już pełnoprawnymi odbiorcami dalszego ciągu.

Serial TV rezygnuje z góry z wysokich ambicji artystycznych, przedkładając nad nie ciekawy pomysł, żywą fabułę i aktorstwo dyskretne, nie narzucające się, ale przemawiające do serca. Od reżysera wymagana jest sprawność warsztatowa, porzucenie manierycznośći i udziwnień, od scenografa — realizm i prostota. Ale u podłoża sukcesu leży przede wszystkim scenariusz, który potrafi przykuć uwagę publiczności na szereg tygodni. Tu do przezwyciężenia jest nadmierny skłon ku walorom literackim. Scenariusz ma być klarowny i nośny w konstruowaniu dramaturgii widowiska.

Serial Wojciecha Solarza o Balzaku spełnia w zasadzie wymienione wyżej wymogi. To dużo i mało. Jest w nim przeciętność, nie wolna miejscami od banału, ale jednocześnie świadome wprzęgnięcie wszystkich środków sprzyjających powodzeniu u najszerszej widowni.

Wybór tematu ze wszech miar słuszny. Osiemnastoletnia, zdalna miłość największego pisarza pierwszej połowy XIX wieku do polskiej arystokratki stanowi jedyne w swoim rodzaju curiosum namiętności zrodzonej w wyobraźni, a następnie sprawdzonej i przetopionej w uczucie o wielkiej trwałości. Kochanków dzieli pozornie wszystko: przestrzeń, krąg kulturowy, uczucia narodowe, konwenans, wreszcie sprawy finansowe i kordony polityczne. A przecież uczucie okazuje się silniejsze i w końcu — zbyt późno wprawdzie — przezwycięża wszystkie przeszkody.

Autor scenariusza, J. S. Stawiński, jest w tej dziedzinie wytrawnym fachowcem. Miał w dodatku do dyspozycji znakomity materiał w listach Balzaka do Eweliny Hańskiej de domo hrabianki Rzewuskiej, stanowiących malowniczą historię tej wielkiej miłości. Wprawdzie historię widzianą jednostronnie, pełną inwektyw pod adresem ukochanej kreślonych piórem pisarza w momentach szczególnie trudnych. Brak nam przeciwwagi w listach pani Hańskiej, które się niestety, nie zachowały.

Dlatego właśnie mniej wiemy o motywacjach, jakie determinowały postępowanie pani Hańskiej. Stąd też może płynie niechęć wielu balzakistów francuskich do polskiej damy, która wydała im się zbyt dumna i nie doceniająca zaszczytu, jakim było dla niej uczucie wielkiego księcia pióra. A przecież żywiołowa, neurasteniczna natura Balzaka, jego dziecięce euforie i brak odpowiedzialności uzasadniał z pewnością w dużej mierze wahania contessy z wołyńskiej Wierzchowni. Stawiński próbuje więc w scenariuszu sprawiedliwie wyważyć te rzeczy, obdzielić zasługami i obciążyć winą obie strony po społu. Tym samym dokonuje udanej do pewnego stopnia próby rehabilitacji pani Hańskiej, w czym dopomaga mu uroda, wdzięk i elegancja Beaty Tyszkiewicz.

W osobie aktora francuskiego Paula Meyranda znalazł... Solarz dobrego odtwórcę roli Balzaka. Aktor wygrywał podobieństwo do pisarza, nie przesadzając jednak w kopiowaniu rzeczywistości. Mniej przekonywająco wypadł Balzak jako wielki pisarz, ale mających co do tego jakiekolwiek wątpliwości odesłać należy do lektury „Komedii ludzkiej".

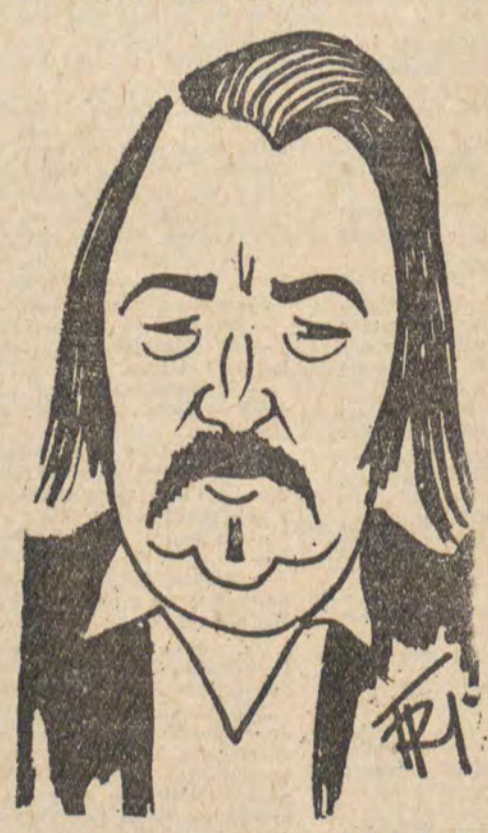

Rys. T. Rynkiewicz

I jeszcze mały żal do reżysera. Sceny łóżkowe Balzaka i Hańskiej są w serialu jakieś rozmemłane, nieestetyczne. Niechby były śmielsze, byle estetyczniej sfotografowane...

Parę wymienionych zastrzeżeń nie zmienia faktu, że „Wielką miłość Balzaka" odnotowujemy jako serial udany, który dał się publiczności polubić.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

PLASTYKA

Z cyklu „Brazylia" — „ŁODZIE I" (tusz)

Kulisiewicz

Ze specjalnym sentymentem oglądamy wystawę antologiczną rysunków i drzeworytów Tadeusza Kulisiewicza w Łódzkim Muzeum Sztuki, tym przecież, które mieści w swoich salach obrazy Strzemińskiego i obrazy przedwojennej awangardy, które stały się jego zalążkiem. Które mieści w sobie legendę międzywojennej Łodzi — wiedy ośrodka najbardziej przodujących prądów artystycznych. Kulisiewicz jest cząstką tej legendy, otrzymał on bowiem w 1937 roku nagrodę plastyczną miasta Łodzi za całokształt twórczości. Kilka lat wcześniej identyczną nagrodę przyznano Władysławowi Strzemińskiemu. Pamiętajmy, że były to nagrody wysokiej rangi.

Kulisiewicz w chwili otrzymania nagrody liczył sobie 38 lat. Miał w swoim dorobku kilka cykli drzeworytów i obszerną tekę rysunków. Musiało to być dzieło rzeczywiście znaczące i ważkie w swej wymowie artystycznej i ideowej, skoro zasłużyło sobie na tak wysokie wyróżnienie. I rzeczywiście było. W cyklach drzeworytów: „Szlembark", „Bacówka", „Metody", „Wieś w Gorcach" obok wirtuozerii warsztatowej, obok artystycznych walorów samej czarno-białej materii plastycznej, znamienna jest ich treść, ich wymowa wskazująca na rodzenie się nowych zainteresowań, otwierająca nową drogę dla artystycznych penetracji. Szlembark, zagubiona karpacka wioska stała się natychmiast symbolem sztuki protestu, sztuki wychodzącej naprzeciw aktualnym sprawom i problemom. Szlembark stał się symbolem sztuki — jak byśmy to dziś określili — zaangażowanej, sztuki podejmującej dialog ze swoją współczesnością. Wreszcie Szlembark stał się symbolem szeroko, uniwersalnie pojętego humanizmu. Humanizmu ponadczasowego, trwającego niezmiennie w dziełach wielkich twórców. Kulisiewicz po wykonaniu wyżej wspomnianych cykli odszedł od drzeworytu nagle i raz na zawsze. Zajął się wyłącznie rysunkiem, wzbogacając go z czasem o kolor i fakturę, dochodząc do tego, co określał mianem „rysunku barwnego", a co często stało na pograniczu malarstwa.

Pierwszym publicznym wystąpieniem Kulisiewicza po wojnie była wystawa rysunków w Muzeum Narodowym „Ruiny, Warszawa 1945". Kulisiewicz stworzył portret-dokument okaleczonego — zdawało się — śmiertelnie miasta, na miejscu którego miały rosnąć ziemniaki. Była to również manifestacja obecności i uczestnictwa, a także protest humanisty przeciw zniszczeniu i zagładzie, przeciwko temu co nieludzkie, nieczłowiecze.

W latach następnych Kulisiewicz wiele podróżuje po Europie, Azji, Ameryce Południowej. Dociera do Chin, Indii i Meksyku. W 1955, 1956 i 1957 roku powstają kolejno części tryptyku rysunkowego: „Kaukaskie kredowe koło" — „Indie" — „Meksyk". Kulisiewicz odkrywa inne krajobrazy, kultury, wiary, obrządki, misteria — egzotykę, która nie ma nic wspólnego z egzotyką barwnych, turystycznych folderów. Artysta dostrzega inne barwy, innego gatunku jest jego zadziwienie i fascynacja. Ponad innością penetrowanych obszarów postrzega sprawy i rzeczy wspólne — ludzkie i trwałe. Ponadczasowe i uniwersalne, dziejące się jedynie w odmiennych sceneriach i z różnych źródeł wynikające. Dowodem uznania z jakimi spotkał się ów tryptyk, była pierwsza nagroda, przyznana artyście na Biennale w Sao Paulo w 1961 roku.

W początkach lat sześćdziesiątych Kulisiewicz odwiedza krajobrazy swojej młodości. Powstaje nowy cykl szlembarski — karpacka wioska jest inna, niż tamta z lat dwudziestych — tylko sceneria gór ta sama. Potem rodzi się cykl „Brazylia" — Kulisiewicz doprowadza kreskę do ascetycznej wręcz oszczędności. Lapidarny zapis graficzny jest jednak pełen wymowy i ekspresji.

Nie przynależąc do żadnej szkoły, Kulisiewicz sam sobie wytyczył drogę, którą konsekwentnie i cierpliwie przemierza. Zmieniając wielokrotnie sposób rysowania, dodając i odejmując, wzbogacając i ograniczając, pozostał wierny treściom i ideom, zamkniętym w swoim własnym, młodzieńczym manifeście — w drzeworytach szlembarskich.

ANDRZEJ GRUN

SPORT

TEN OKROPNY CZARNY KOLOR

Kiedyś, przy okazji sportowej publikacji przyznałam się kokieteryjnie trochę, że na sporcie się nie znam. Zapomniałam o tym dokładnie, ale w niedawnej rozmowie powróciło do mnie to zdanie. Więc zaczęłam się zastanawiać, co to znaczy: „Znać się na sporcie".

Czy zna się na sporcie dziennikarz, który swoją, wieloletnią pracę zawodową poświęcił tej dziedzinie, który sypie z rękawa nazwiskami zwycięzców kolejnych olimpiad i wynikami? Niewątpliwie tak. Czy zna się na sporcie sędzia, prowadzący zawody i oceniający przebieg walki zgodnie z przepisami? Bez wątpienia. Czy zna się na sporcie dyrektor wielkiej fabryki, któremu z urzędu przypada opieka nad klubem sportowym? Tu mam wątpliwości. Jeśli jest kibicem, to zna się na sporcie tak samo, jak tysiące widzów wypełniających trybuny. Ale jeśli nawet nigdy przedtem nie był na stadionie, to przecież może być doskonałym administratorem, który umie dbać o interesy klubu. I wszystko w porządku.

No a co z kibicami? Przecież to oni asystują wiernie wszystkim zmaganiom sportowców, oni wypełniają szczelnie trybuny, oni dopingują swoich ulubieńców, zbierają autografy, zafascynowani sportową walką spędzają wiele godzin przed ekranem telewizyjnym. Oni wreszcie ostatecznie decydują o popularności poszczególnych dyscyplin i poszczególnych zawodników. Cóż z tego na przykład, że mamy w Łodzi bardzo dobre drużyny siatkarek i koszykarek, skoro sportowa opinia zajmuje się przede wszystkim piłką nożną w wykonaniu ŁKS, mimo że drużyna ta po dobrym okresie znów popadła w przeciętność.

Stale mówi się u nas o wychowawczej roli sportu. Mówi się tak często, że sformułowanie to nabrało cech oczywistej prawdy banału. Bo kogo sport ma wychowywać? Zawodników? Kibica? Czy jednych i drugich? Nie powinno być żadnej wątpliwości przy formułowaniu odpowiedzi na te pytania. Ale...

Dla kibica sport jest przede wszystkim widowiskiem. Nie bez kozery najwięcej ludzi ściąga na zawody piłkarskie, chociaż poziom polskiej piłki nożnej nie uzasadnia aż takiego zainteresowania. Nie oszukujmy się, marny mecz rozgrywany w żółwim tempie, mecz, w którym nikomu nie chodzi o wynik, a zawodnikom nie chce się walczyć, w którym stosowane chwyty nie mają nic wspólnego ze sportową rywalizacją — taki mecz nie ma żadnych walorów widowiskowych i nie może też spełniać żadnej roli wychowawczej. I na pewno zawodnicy występujący w takim widowisku nie mogą być pozytywnym przykładem dla młodych kibiców, którzy wszędzie szukają wzorów do naśladowania.

Banałem również stało się zdanie, że sport wyczynowy musi się opierać na sporcie masowym. Nasza sportowa rzeczywistość na dobrą sprawę zaprzecza jednak temu sformułowaniu. Mamy bowiem — nie wdając się w jego ocenę — sport wyczynowy, ale gdzież jest ta masowość? Podejmuje się co prawda próby reanimowania sportu dla wszystkich, ale sporo jeszcze czasu musi minąć, żeby mogli poważnie mówić o sporcie masowym. A bez tego przegrywamy dwie sprawy: naturalne, liczne zaplecze dla sportu wyczynowego oraz rzeczywiste, wychowawcze oddziaływanie sportu w ogóle. Sport wyczynowy bez oparcia o masowość nasuwa mi porównanie do drzewa, któremu podcięto większość korzeni. Żyje, ale choruje. I musi chorować. Tak jest również z naszym życiem sportowym. Ciągle mamy bowiem za mało młodych, utalentowanych sportowców, którzy stanowiliby konkurencję dla gwiazdorów, którzy mogliby ich w każdej chwili zastąpić. Sytuacja jest taka, że ci najsławniejsi nie muszą właściwie dbać o formę, nie muszą przykładać się do treningów, bo i tak wiadomo, że będą występowali. W barwach tego lub innego klubu. „Gwiazdorstwo" może być zjawiskiem zdrowym, jeśli wynika z ciągłej sportowej rywalizacji. Samo w sobie jest nieporozumieniem i rodzi najprzeróżniejsze wynaturzenia.

Nie bez powodu **„Trybuna Ludu"** rozdaje **„żółte kartki"**, piętnując różne ujemne strony sportowego życia. Nie bez głębszych przyczyn dowiadujemy się o coraz to nowych, nie budujących wydarzeniach. Ot, choćby finał jubileuszu 50-lecia Polskiego Związku Pływackiego, który się zakończył awanturą w „Trojce" i w konsekwencji prokuratorskim dochodzeniem. Ot, choćby... Znamy wszyscy inne przykłady, rzucające, niestety, złą sławę na ogromną większość prawdziwych sportowców. Póki jednak takie wypadki będą się zdarzały nie można pomijać ich milczeniem, nie można udawać, że wszystko jest w porządku. Każde zło w sporcie tak jak we wszystkich dziedzinach życia — trzeba potępiać i zwalczać. Po to, żeby powstała atmosfera, w której sport rozwijałby się prawidłowo i mógł pełnić rzeczywiście rolę wychowawczą. I to zarówno wobec uczestników życia sportowego, jak i wobec kibiców.

Z pewnym zdziwieniem przeczytałam w 72 numerze **„Przeglądu Sportowego"** felieton „Z piątku na niedzielę", podpisany literami **A. J.**, w którym autor domaga się, aby **„...twórczość pisarska, dziennikarska, artystyczna przyczyniała się do umocnienia roli sportu w (...) jednolitym froncie wychowawczym".**

Apel ten ze wszech miar słuszny nie zrodziłby moich wątpliwości, gdyby **A. J.** poprzestał tylko na tym. Ale nie. Napisał jeszcze.

„Nie ma dziś dla sportu najlepszego klimatu. Ginie on w gęstej mgle ciemnych sprawek, którym nadało się rangę dotąd nie spotykaną. Nie tylko w historii naszej kultury fizycznej, ale w historii światowego piśmiennictwa (!???) trudno by znaleźć podobne przykłady. Wydaje się iż jesteśmy bliscy czasu, gdy miast radosnych fanfar, zwycięzców witać będą żałobne werble".

I dalej.

„Sport czeka na piewców, a nie prześmiewców, którzy zamiast wzbogacać jego wielkie wartości społeczno-wychowawcze, obnażają w karykaturalny sposób jego ułomność, tworząc czarną, sportową literaturę".

I jeszcze.

„Dziś łatwiej byłoby stworzyć dzieło z prac prześmiewców sportu, niż zebrać w jednym dziele apologetów tej dziedziny życia".

Po lekturze felietonu **A. J.** można wyciągnąć jeden wniosek. Uzdrowić sport mają wszyscy poza samymi sportowcami i działaczami sportowymi. Niech więc się biorą do roboty pisarze, dziennikarze, artyści. Niech zmieniają klimat, atmosferę. Niech przestaną się wreszcie śmiać, choć na dobrą sprawę raczej płakać by wypadało.

A ja naiwna zawsze sądziłam, że dobre wyniki i zdrowy sport zależą przede wszystkim od rzetelnej pracy samych sportowców, trenerów i działaczy.

No i jak tu się można znać na sporcie?

BOGDA MADEJ

„Kochający mąż"

„Najukochańsze Moje Dzieci i Żono Jadziu! Jak bardzo ciężko na sercu, gdy człowiek nic zrobi nic złego, a cierpi... Tym bardziej ciężko, bo wiem, jak ciężko jest Tobie i mym dzieciom. Sam przecież pracowałem, a teraz co. Nawet tej skąpej pensyjki zostałaś pozbawiona... Nigdy nie kochałem nikogo tak jak Ciebie..."

Cytowany tu fragment listu znajduje się w aktach sprawy **Bogusława Łągwy**, lat 24, ślusarza, wykształcenie 7 klas szkoły podstawowej plus trzy klasy szkoły zawodowej, żonatego, ojca dwojga dzieci w wieku 6 miesięcy i 6 lat. Cóż więc się stało, że ów kochający małżonek, zda się przykładny ojciec rodziny, pisze te słowa zza murów piotrkowskiego aresztu śledczego?

Ani przez moment nie miała wątpliwości, że źle czyni 75-letnia Wanda K., kiedy 9 stycznia br., o godz. 16 zaprosiła do siebie na herbatę młodego człowieka, bezskutecznie dobijającego się do mieszkania jej sąsiadki, Leokadii W.

— Jestem ciotecznym bratem Leokadii W., przyjechałem z Wrocławia. Wypiliśmy z kolegą we dwóch ćwiartkę wódki, trochę mnie teraz suszy. Może dostanę szklankę herbaty — prosił przyjezdny.

Wanda K. szybko zrobiła herbatę. Gość wypił nawet dwie szklanki, taki był spragniony. Kiedy się nasycił, jego żądania były już inne... Przerażona kobieta rzuciła się do ucieczki. W korytarzyku nieszczęśliwie upadła i straciła przytomność. Tam dopadł ją Bogusław Łągwa. Zaczął bić, zakrywał usta rękami, żeby nikt nie słyszał krzyku. Znęcał się tak nad nieszczęśliwą cztery godziny. Około godz. 20 wyszedł, zostawiwszy sponiewieraną kobietę w opłakanym stanie. Przed wyjściem prosił o 5 zł na samochód do Radomska. Ostrzegał, by nie mówiła nic milicji, bo... pójdzie za to do więzienia. Przybyła w porę sąsiadka, zawiadomiła Pogotowie Ratunkowe. Nie omieszkała też powiadomić milicji. Wkrótce godzin później bohater tej opowieści był już za kratkami.

Spójrzmy teraz w kartę karalności Bogusława Łągwy. W 1969 roku napadł i chciał zgwałcić w lesie 68-letnią Cecylię K. Energiczna postawa napadniętej zapobiegła nieszczęściu. Łągwa zdążył zerwać jej z ręki zegarek i uciec. Szybko go schwytano, a Sąd skazał go na 4 lata więzienia i 4 tys. złotych grzywny. Po odbyciu 2/3 kary Łągwa został warunkowo i przedterminowo zwolniony z więzienia. Łudzono się, że proces resocjalizacji został dokonany.

Jeszcze raz Łągwa był podejrzany o dokonanie podobnego przestępstwa. W marcu 1972 r. ktoś napadł w lesie rakowskim pod Piotrkowem starszą kobietę, zbierającą chrust i chciał ją zgwałcić. Skończyło się na podejrzeniach. Niewiasta nie rozpoznała w Łągwie napastnika.

Sam nasz bohater cieszył się specyficzną sławą wśród kobiet pewnej podpiotrkowskiej miejscowości, chodzących do pracy i z pracy przez las. Ostrzegały się wzajemnie, że niejaki Łągwa grasuje w lasach i należy uważać. Ba, mimo to pewna pani — oczywiście grubo starsza od naszego bohatera — którą Łągwa chciał zgwałcić w lesie, i to nawet dwukrotnie, tak się z nim zaprzyjaźniła, że... została jego kochanką. Cóż, mit silnego mężczyzny pokutuje nie tylko wśród nastolatek.

Nietrudno przypuszczać, jaką linię obrony przyjmie w sądzie Bogusław Łągwa, podejrzany o zgwałcenie ze szczególnym okrucieństwem, czyli o przestępstwo z art. 168, par. 2 KK. Postanowił „strugać wariata".

„Pani prokurator! Mówiła mi Pani, że mnie Pani wyleczy z tego, co mi dolega..." — pisze w pierwszym liście do prokuratora.

„Pani prokurator! Dlaczego Pani mnie nie odesłała na badania, a zamkła mnie pani..." — ponagla w drugim.

Listy opatrzone są misternymi wizerunkami diabła, który biednego gwałciciela nawiedza w piotrkowskim areszcie śledczym.

Udawanie choroby psychicznej należy do żelaznego repertuaru komedii, odgrywanych przez przestępców przed przedstawicielami organów ścigania. Są to z reguły komedie, gdyż bardzo rzadko przestępstwa są popełniane na skutek choroby psychicznej. I w tym wypadku opinia biegłych lekarzy-psychiatrów była zgodna:

„Uważamy, że w chwili dokonania zarzucanego mu czynu zdolność do rozumienia i kierowania swoim postępowaniem miał zachowaną".

Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, Sąd Powiatowy w Piotrkowie skazał Bogusława Łągwę na 9 lat więzienia.

Abyśmy mieli pełen obraz sylwetki naszego bohatera, w liście do zakładu pracy prosił on o niewypłacanie żonie jego pensji. Potrzebna mu będzie na papierosy w więzieniu.

MIECZYSŁAW STOLARSKI

Muzeum Toulouse-Lautreca

Nie dożył do czterdziestki. Zmarł wyczerpany chorobą i pijaństwem. Urodzony w Albi, w pałacyku Bosc, **Henri-Marie-Raymond de Toulouse-Lautrec-Monfa**, arystokrata, człowiek, który na skutek choroby w dzieciństwie miał wzrost karła, choć tułów i głowę wielkości normalnej, genialny rysownik i malarz jest postacią niezwykle interesującą. O jego dramatycznym życiu napisano już wiele. Spopularyzował je m. in. H. Perruchot, znaną powieść napisał o nim P. La Mure („Moulin Rouge").

„Już za życia i wielokrotnie potem był Toulouse-Lautrec ofiarą legendy" — pisze Perruchot w swej książce „La vie de Toulouse-Lautrec" (cytuję w tłumaczeniu K. Dolatowskiej) i dalej": **„Na pierwszy rzut oka życie Lautreca może wydawać się doskonale znane. Ale to tylko pozór. Nie wystarczy bowiem, jak to zbyt często przywykliśmy mniemać, sięgnąć po czarodziejski rekwizyt: Montmartre, by wszystko zostało powiedziane. W jaskrawych i sztucznych blaskach Wzgórza, Lautrec częściej krył się, niżli ukazywał. I wcale nie spoglądał na Montmartre jak na dekoracje. Spod jego malowniczości wydobywał rzecz ludzką, człowieka obnażonego. Lepiej niż ktokolwiek potrafił wyczuć cierpki smak czyjegoś niby beztroskiego śmiechu. Nigdy nie dawał się oszukać. Ani ludziom, ani rzeczom. A samemu sobie najmniej".**

Jedna zasadnicza cecha uderza w twórczości Toulouse-Lautreca, to wierność sobie, dążenie do wyrażenia poprzez szkic, rysunek, obrazu swego własnego ja, swego wnętrza psychicznego. Ta cecha postawi go w rzędzie takich artystów jak Van Gogh, Ensor czy Munch, którzy podobnie jak on przejawiali w swej twórczości emocjonalny i subiektywny stosunek do życia i otoczenia. W jego dziełach nie ma nic z pozy, sztuczności, akademickiego chłodu. Pociągała go tematyka współczesna i barwne życie, jakie toczyło się wokół niego i w jakim brał udział bohatersko, mimo swego ciężkiego kalectwa. Staje się niezwykłym portrecistą umiejącym, jakże trafnie, podchwycić cechy charakterystyczne, nieraz zabawne lub śmieszne portretowanej postaci. Umiejętność tę wykorzysta rysując karykatury. Był niezrównanym kronikarzem życia Montmartre'u. Stały bywalec kawiarń, barów, music-hallów, cafés-concerts, teatrzyków pozostawił nam obrazy pełne życia, prawdy, ruchu i barwy. Później ujrzy poza błyskotliwością estrad i sal tanecznych, ogrom nędzy, upadku i upokorzenia. Życie prostytutek i światek domów publicznych przez jakiś czas staje się, jako malarski temat, jego obsesją. Ale ten światek zemści się na nim okrutnie za wydzieranie tajemnic lupanarów i knajp. Zarażony wenerycznie, stawszy się nałogowym pijakiem, Toulouse-Lautrec dostanie się do szpitala dla obłąkanych, by wreszcie umrzeć przedwcześnie mając lat 37. Picasso, który zmarł niedawno, miał wówczas 20 lat.

Toulouse-Lautrec lubił także wszystko co jest w ruchu, barwne, charakterystyczne. Bywał na konnych wyścigach malując konie, chodził do teatru, opery, teatrzyków by czerpać stamtąd wrażenia dla swej twórczości. Zjawia się na salach sądowych i w sali operacyjnej szpitala, ba, odwiedza nawet prosektorium. I zawsze, stale z wewnętrzną pasją stara się w postaciach ludzkich odkrywać to, co w każdej z nich jest najbardziej typowe i charakterystyczne.

Pod wpływem studiów drzeworytnictwa japońskiego jego linia nabiera szczególnej ekspresji. Wkrótce pociągnie go plakat, w którym okazał się prawdziwym mistrzem. W roku 1891 Toulouse-Lautrec tworzy po raz pierwszy plakat dla „Moulin Rouge". Później robi ich wiele, a każdy z nich jest arcydziełem. Po roku 1897 zrywa jednak z tą dziedziną plastyki poświęcając się wyłącznie litografii. Dopiero w jakiś czas później pociągnie go malowanie aktów.

Albi, miasto w południowej Francji, gdzie urodził się w roku 1864 Toulouse-Lautrec uczciło genialnego artystę wyjątkowym pomnikiem, jaki mają nieliczni tylko najwybitniejsi ludzie swej epoki — muzeum jego imienia. Ostatnio **Anni Wagner** w kwietniowym numerze monachijskiego miesięcznika **„Die Kunst und das schöne Heim"** zamieściła ciekawy artykuł na temat muzeum w Albi im. Toulouse-Lautreca. Muzeum sztuki w Albi powstało w roku 1876. Później zostało przeniesione do byłego pałacu arcybiskupiego, wspaniałej budowli, której początki sięgają końca XIII wieku.

Toulouse-Lautrec za swego życia nie zdobył szerokiego uznania i ceniony był zaledwie przez kilku krytyków i znawców sztuki oraz wąskie grono swych przyjaciół. Do nich zaliczał się też dyrektor muzeum w Albi Maurice Joyant. On to postanowił muzeum w tym mieście poświęcić pamięci Toulouse-Lautreca. Zwrócił się do matki zmarłego malarza, ta zaś przekazała do muzeum Albi bogatą kolekcję dzieł syna. Pani Toulouse-Lautrec usiłowała uprzednio ofiarować bogaty zbiór któremuś z państwowych muzeów. Żadne nie chciało przyjąć tego daru. Wreszcie muzeum w Albi zgodziło się na przyjęcie, choć dyrektor Joyant musiał pokonać opory władz miejskich. Te zaś obawiały się, że obrazy Toulouse-Lautreca kryją w sobie zbyt frywolną treść, by mogły przebywać w salach byłego pałacu biskupów.

Zbiory umieszczono w trzech salach na pierwszym piętrze pałacu. Z biegiem czasu poszerzały się przez rozmaite darowizny. Uroczyste otwarcie muzeum im. Toulouse-Lautreca nastąpiło w roku 1922. Dziś sale muzealne gromadzą 200 obrazów olejnych, wielką ilość pasteli, ponad 150 rysunków i ponad 150 litografii Toulouse-Lautreca. Ponadto znalazły się tu ilustrowane przez niego książki, projekty okładek i liczne plakaty. Wystawa ta zajmuje dziś trzynaście sal pierwszego piętra. Drugie piętro oraz poddasze poświęcone są na dzieła różnych malarzy, którzy tworzyli w tym samym czasie co artysta z Albi, czy też łączyły ich z nim więzy przyjaźni lub prace i zainteresowania artystyczne.

W roku 1969 — o czym nie wspomina Anni Wagner — w muzeum pokazano sześćdziesiąt rysunków Toulouse-Lautreca dotąd nieznanych. Pozostawały one bowiem w magazynach muzealnych od roku 1922. Ponad połowa tych rysunków została wykonana przez artystę przed ukończeniem przez niego dwudziestu lat. Rysunki te stały się niezwykle cenne zwłaszcza dla biografów Toulouse-Lautreca i historyków sztuki. Pozwoliły one bowiem prześledzić rozwój jego talentu i ogromu jego twórczej pracy.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

PRZEDTERAŹNIEJSZOŚĆ

Kłopoty niedawnej historii

Sprawy minione tak niedawno, że nie sposób ich oddzielić od teraźniejszości; cóż więc dziwnego, że niejednokrotnie wydaje się nam, że znamy je wcale dobrze? A jednak przy bliższym kontakcie z tą niedawną historią okazuje się, że wiemy o niej bardzo mało, niejednokrotnie znacznie mniej, niż o czasach dawniejszych, które dalej odsunęły się w przeszłość, bardziej zobiektywizowały się w naszej świadomości, stały się w pełnym tego słowa znaczeniu historią. Ten stan rzeczy przypisujemy chętnie — i nie w pełni bezzasadnie — temu, że dopiero po upływie czasu zdejmuje się klauzulę tajności z arcyważnych dokumentów, dopiero po latach wychodzą na jaw sprawy niegdyś skrzętnie ukrywane, dopiero czas, nieubłagany selektor ludzkich ocen, pozwala nam spojrzeć w przeszłość z perspektywy skutków minionych zaszłości. I dlatego historycy nie bez dumy powiadają o sobie, że często potrafią o minionych sprawach powiedzieć więcej i pełniej, niż ich bezpośredni świadkowie, ba, nawet aktorzy.

Wszystko to prawda, ale... przecież nie byłoby historii i historyków, gdyby nie istnieli świadkowie, ci, którzy naocznie coś widzieli, coś przeżyli, a następnie zrelacjonowali. Otóż właśnie — zrelacjonowali...

Nie tak dawne są czasy, kiedy nauka historyczna z całą powagą usuwała na drugi plan wszelkiego rodzaju relacje świadków, dostrzegając w nich nieunikniony subiektywizm i zmierzała do budowania swoich konstrukcji przede wszystkim w oparciu o źródła o charakterze dokumentarnym, jako w mniemaniu wielu badaczy znacznie bardziej wiarygodne i mniej skażone indywidualnym subiektywizmem ich twórców. Postawa ta, tak charakterystyczna dla nauki historycznej od drugiej połowy XIX wieku, przyniosła jej znaczne profity, choćby tam, gdzie doprowadziła do zweryfikowania dawnych, kronikarskich opowieści, w oparciu o wydobywane z archiwów dokumenty. Nie sposób jednak nie dostrzec, że przynajmniej w odniesieniu do dziejów najnowszych kryje ona w sobie... również poważne niebezpieczeństwa. Twierdzimy tak nie bez powodów.

Tempo przemian nie tylko w naszych, lecz również w niedawno minionych czasach bywało tak szybkie, że nie wszystko, co ważne, mogło w ogóle posiadać swoją „dokumentarną" podkładkę. Nie wiem, czy komuś przyszło do głowy, aby zestawić, ile to ważnych, nieraz najważniejszych decyzji o charakterze politycznym czy wojskowym, zapadło w latach II wojny światowej bez obecności protokulanta, w rozmowie w cztery oczy, ba w rozmowie telefonicznej, po której nie pozostał żaden ślad na papierze. Właśnie dzieje II wojny światowej wskazują, że bardzo często bywały to decyzje najważniejsze, takie, które musiały zapaść niezmiernie szybko w warunkach, kiedy nie było czasu na sporządzanie notatek, formułowania instrukcji i rozkazów na piśmie.

Dodatkową okolicznością, która wpływała na to, że często sprawy nadzwyczaj ważne nie mogły trafić na karty dokumentów, była konspiracja. Dobrze wiadomo, że w warunkach konspiracyjnych nie gromadzi się olbrzymich archiwów, a utrwala na piśmie niezmiernie mało tylko to, co niezbędne, często ze względów bezpieczeństwa rezygnując z tego, co dla historyka może być w przyszłości najważniejsze. Olbrzymia ilość wspomnień partyzanckich, jakie ukazały się u nas w ostatnich latach, daje pełne potwierdzenie tego zjawiska. Ileż to razy dopiero relacja pamiętnikarska, czyjeś wspomnienie — przy wszystkich jego niedostatkach, o których można by napisać cały traktat — pozwala na ujawnienie zdarzeń bardzo ważnych, niejednokrotnie o podstawowym znaczeniu dla poznania dziejów okresu hitlerowskiej okupacji? Bywa tak nie tylko w odniesieniu do tych czasów i problemów.

Dlatego więc, że historia — nie ta pisana, ale ta, która się stawała — w pewnych sytuacjach przestała wytwarzać swoją biurokrację, dlatego właśnie historia — już ta pisana — rehabilituje dzisiaj przekazy narracyjne, którym do niedawna skłonna była odmawiać wiary. Więcej — podobnie jak socjologia, która władna jest stwarzać swoje źródła — również historia je stwarza. Czyni to wtedy, kiedy dociera do ludzi, mających coś do powiedzenia o interesujących ją sprawach, zapisuje ich wspomnienia na papierze czy taśmie magnetofonowej.

Relacja, zwłaszcza dla badacza dziejów najnowszych, jest nieraz źródłem bezcennym, bo ... jedynym. Najwybitniejsi badacze są dziś jednego zdania co do „roli relacji i wspomnień jako ważnego źródła w badaniach historycznych, zwłaszcza problematyki drugiej wojny światowej". Autor monografii o genezie PPR Marian Malinowski stwierdza na wstępie do swej pracy:

„Przy wszystkich zastrzeżeniach co do subiektywizmu wspomnień i relacji, jak i konieczności szczególnej ostrożności w weryfikacji źródeł tego typu stwierdzić należy, iż bez nich nie byłoby możliwe odtworzenie dziejów ruchu komunistycznego w omawianym okresie. W danym wypadku właśnie wspomnienia i relacje stanowią bowiem zasadnicze źródło informacji dostępnej dla historyka".

W swej książce M. Malinowski powołuje się na relacje uzyskane od... 293 osób. Historyk podaje w pracy tylko te źródła, które mu były potrzebne, dostarczyły jakichś nowych wiadomości, nie wylicza zaś tych, które okazały się bezużyteczne. Ile więc relacji wypadało mu zbadać, jeżeli aż tyle powołał w tekście swej pracy?

LEKTOR

ANDRZEJ GRUN — FRYZURY

ZdarzeniA • I • ZwierzeniA

ŚWIĘTO KSIĄŻKI

Doroczną Wiosnę Kulturalną od lat pieczętujemy hasłem Dni Oświaty, Książki i Prasy. Wyrosła nam ta tradycja w ciągu wielu lat i dziś jest to rzeczywiste święto książki i kultury. Tysiące kiermaszy i spotkań autorskich, tysiące pisarskich autografów, składanych czytelnikom w majową niedzielę, dziesiątki tysięcy książek sprzedawanych pod wiosennym niebem... Dni autentycznego zbliżenia i kontaktu z książką i jej twórcą od wielu lat już wpisane są w pejzaż wiosenny polskich miast i miasteczek.

Nie sposób mówić o tych sprawach bez pomocy statystyki. I choć wiem, że dosyć mamy referatowych wyliczanek, nie mogę nie przypomnieć raz jeszcze, że wydaje się w Polsce trzy razy więcej książek, niż przed wojną. Ale równanie do dwudziestolecia międzywojennego to żaden sukces. Równajmy więc do połowy lat czterdziestych, kiedy to wydawano 40 milionów egzemplarzy książek — i dodajmy od razu, że obecnie wysokość łącznych nakładów sięga 100 milionów egzemplarzy rocznie.

Podobnie z prasą. W roku 1947 jednorazowy nakład gazet sięgał miliona. Dziś sięga... 600 milionów egzemplarzy. Któż wie, któż pamięta, sławiąc głośne gazety dwudziestolecia międzywojennego, że docierały one do maleńkiej garstki czytelników? Słynny „Ilustrowany Kurier Codzienny", który był największą gazetą Polski międzywojennej, sięgał 130 tys. egzemplarzy. Dziś jest to przeciętna dla gazet kolportowanych w jednym tylko województwie. Słynne warszawskie „Wiadomości Literackie" miały nakład rzędu 8—12 tysięcy egzemplarzy. Dziś jest to przeciętna pism regionalnych o profilu społeczno-literackim, pism wydawanych we wszystkich województwach.

Na rynku księgarskim lata ostatnie zanotowały zupełnie nowe zjawisko, które — nie wiadomo — cieszyć ma czy smucić. Nazywa się owe zjawisko „popytem niezaspokojonym" i świadczy o potrzebie książki, o pogoni za książką, a jednocześnie świadczy o „niemocach produkcyjnych" poligrafii i wydawnictw. Według rozeznania księgarzy sieć „Domów Książki" ma możność dodatkowej sprzedaży książek wartości 175 milionów złotych w skali jednego roku.

Trochę robi się smutno, gdy dziś organizatorzy Dni Książki mówią z niejakim zażenowaniem o wachlarzu tytułów na kiermaszu. Robi się smutno i rozumiem to zażenowanie, gdy padają tytuły takich bestsellerów jak „Lokomotywa" Tuwima, „Ania z Zielonego Wzgórza" Montgomery, czy „Ostatni Mohikanin" Coopera. Oczywiście znalazło się na kiermaszach parę egzemplarzy „Trzech opowieści" Andrzejewskiego, „Koniec świata szwoleżerów" Brandysa, ale już na przykład głośnej „Fizjologii smaku" nie było. Tak jak nie było wciąż poszukiwanych książek Wańkowicza. Były za to stoiska wszystkich wydawnictw, ale... Wydawców nie interesują „firmowe" stoiska na kiermaszach poza stolicą i wcale nie chcą partycypować w zaopatrzeniu. Jedynie Wydawnictwo Poznańskie traktuje swoje „witryny" w innych miastach poważnie i solidnie.

Obserwując księgarską posuchę w ciągu ostatnich tygodni, wszyscy mieliśmy nadzieję, że na początek maja przygotowano dla czytelników szereg niespodzianek. Mało kto przypuszczał, że niespodzianką będą starańkie wznowienia. Wśród tych 7 tysięcy tytułów na kiermaszu największą pewno atrakcją było... wznowienie „Siedmiu z Halifaxa". Ale to tylko dlatego, że autor tego banalnego pamiętnika wojennego stał się w międzyczasie popularny jako Zagłoba. Bowiem to Mieczysław Pawlikowski, dziś znany aktor, spisał zaraz po wojnie swoje wspomnienia z bitwy o Anglię. Jeśli więc zanotowano tłok przy stoisku z książkami, był to sukces aktora, a nie autora. Nawiasem mówiąc łódzka prasa elegancko przemilczała, którzy łódzcy pisarze podpisywali na kiermaszu swoje książki. Eksponowano za to „mistrza szabli" i „popularnego Zagłobę".

Dość jednak utyskiwań, bowiem w te dni majowe godzi się przypomnieć fakty bardziej optymistyczne. Nie miejsce tu, oczywiście, na imponujące kolumny cyfr, na zestawienia i tabele — trudno jednak nie przypomnieć i o tym, że mamy ponad 8 tysięcy bibliotek, dysponujących 42 milionami tomów. Te liczby są wymowne, choć może zbyt astronomiczne, aby ich wielkość i wagę można sobie tak od razu uzmysłowić.

Oczywiście statystyka, to broń obosieczna i wiele już dowcipów na jej temat wymyślono. Ze statystycznych danych na przykład wynika, że przeciętnie na majowych kiermaszach łodzianie kupują książek za 300 tysięcy złotych. Nie jest to właściwie mało, ale jeśli rozłożymy tę sumę na wszystkich statystycznych łodzian, okaże się, że w czasie wiosennych dni kultury mieszkaniec naszego miasta wydaje na książki około... 40 groszy. I bądź tu człowieku mądry, gdy ci statystyka wchodzi w paradę.

Zostawmy jednak te rozważania, bo w końcu nie chodzi o buchalterię, tylko o fakty społeczne i kulturowe. A fakty te — to wciąż rosnąca ranga kultury i oświaty.

WIDOK

LEWYM OKIEM!

SUWMIARKA

W „Odgłosach" z 29 kwietnia, wśród Listów do Redakcji, znalazł się także list pana Ryszarda Stodołkiewicza, nawiązujący do mojego felietonu o opakowaniach, zatytułowanego „Nieskoordynowane butelki".

List zawiera parę komplementów, za które szczególnie dziękuję, bo zbyt wiele ich w życiu nie było. Zawiera też parę kostycznych wytknięć popełnionych przez Ćwieka błędów językowych, z tradycyjnym w takich listach daniem wyrazu niezmiernej trosce o nasze najświętsze dobro — język polski.

Nie ma na pewno felietonisty, który by kiedyś nie naigrawał się z różnych językowych błędów, niedorzeczności, nieprawidłowości, sam też już takie dwa czy trzy popełniłem, ale uczciwie przyznaję: to się robi wtedy, kiedy — psiakość — nie ma o czym pisać, a felieton musi być. To jest niezmierna łatwizna. Nawet świetnego Kopalińskiego z „Życia Warszawy" z mniejszą satysfakcją czyta się w tych — nazbyt chyba częstych — przypadkach, gdy zaczyna rozważać arcysubtelne niuanse znaczeniowe różnych słów i zwrotów, pozbieranych skrzętnie z czasopism. Takie felietony można pisać a pisać, i to wcale nie zanadto purystyczne, dosyć jest jaskrawych, zupełnych bzdur, wołających o interwencję fachowca; tylko, że obok łatwizny jest w tym również jakaś mało sympatyczna nutka besserwisserstwa, przemądrzałości. Tak się mądrzysz, a piszesz „zwolna" razem, zamiast osobno! I partykułę „by" łączysz z bezosobową formą czasownika! Czas nareszcie pomyśleć o języku polskim, panie taki a taki!...

Pan się chyba nie pogniewa, panie Stodołkiewicz, za to co piszę oraz za to, że nie całkiem się z Panem zgadzam? Bo wydaje mi się, że:

Mogą być roboty katorżne (wykonywane na katordze) i katorżnicze (wykonywane przez katorżników), tak jak mogą być zajęcia więzienne i zajęcia więźniarskie.

Mogą być puszki konserwowe i mogą też być — co w omawianym tu liście podano jako przykład horrendalny — pudełka papierosowe. Proszę bardzo, niech pan przeczyta „Stylistykę Polską Kurkowskiej i Skorupki na str. 76:

„Przymiotniki odrzeczownikowe mogą oznaczać najróżniejsze typy relacji do podstawowych rzeczowników: urządzenie wyładunkowe — służące do wyładunku (— puszka konserwowa — służąca do konserw — p. mój). Sufiks „—owy" nie narzuca tworzonym za jego pomocą przymiotnikom żadnego ściśle określonego znaczenia realnego, sygnalizuje tylko ogólnikowo istnienie jakiegoś stosunku między przymiotnikiem a odpowiednim rzeczownikiem". Przy żadnych tedy „przyczynowych określeniach" cudzysłowy nie są wcale potrzebne, a w ogóle to właśnie cudzysłowów powinniśmy unikać jak ognia i sięgać po nie tylko wtedy, gdy brakuje nam własnych słów...

Natomiast niedobrze jest, gdy się napisze tak jak w owym, ciągle tu omawianym liściku:

„Sam artykuł nosi znamiona i chęci poprawy Rzplitej..." itd.

Nie można, bo to by znaczyło, że artykuł nosi chęci poprawy, a noszenie chęci jest fatalnym stylistycznym zgrzytem.

Nie można też napisać, że „sfera produkcji, obrotu, handlu itp. to tematy od dawna będące pożywką..." Sfera — to tematy? Powinno być chyba: „Produkcja, obrót, handel itp. — to tematy od dawna będące pożywką". Ja wiem, szkoda tego słowa „sfera", ale bez niego jest prościej i bardziej poprawnie.

Co do pięć deka i suwmiarek (paskudne słowo!), pewnie mój korespondent ma rację. Chętnie rezygnuję z manifestowania własnych racji przy takich maleńkich drobiazgach. Jak zaczniemy w każdej rozmowie, z każdym rozmówcą, nasłuchiwać tylko popełnianych przez niego językowych błędzików, to w ogóle nie warto z nami gadać. Kiedyś mimo woli poddałem się takiej obsesji. Słuchając przemówienia pewnego dygnitarza, który bardzo często wtrącał „proszę was", nie słyszałem absolutnie nic, tylko „proszę was" i „proszę was". A potem okazało się, że on właśnie mnie bardzo chwalił i że należało mu wdzięcznie odpowiedzieć.

Taka okazja już się może nie powtórzyć!

ĆWIEK

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6.50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Łódź, ul. Żwirki 17.
Zam. 1070. T-14.